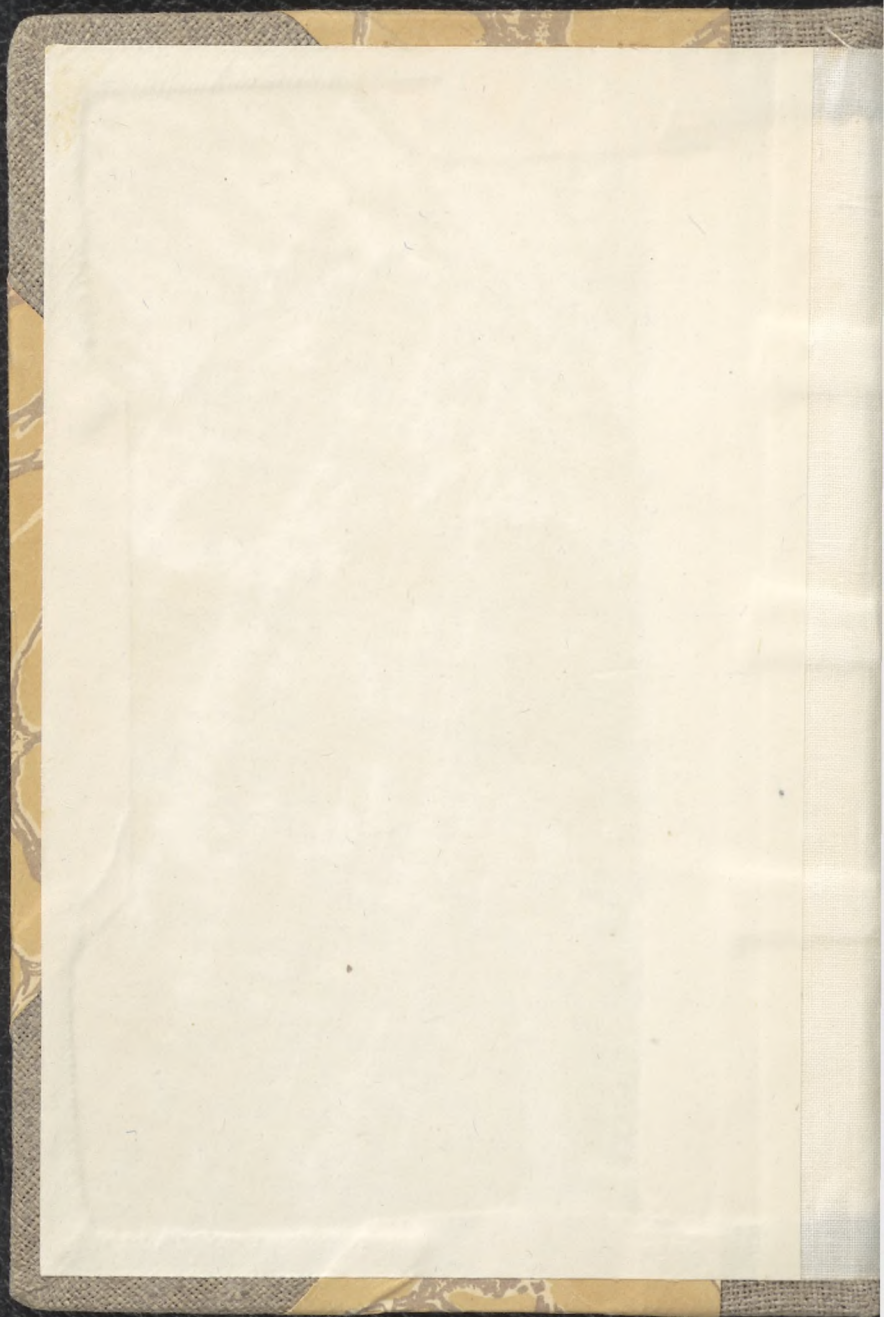
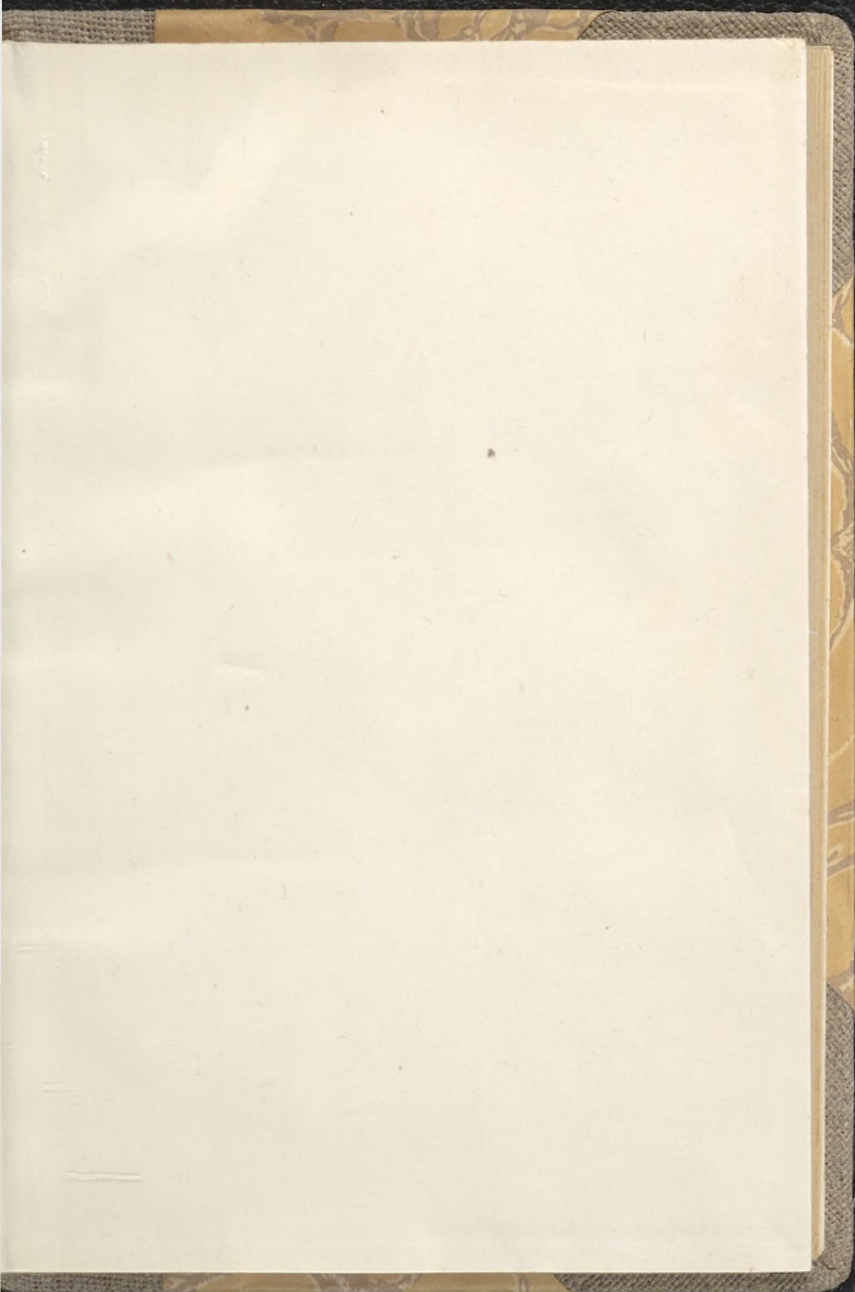
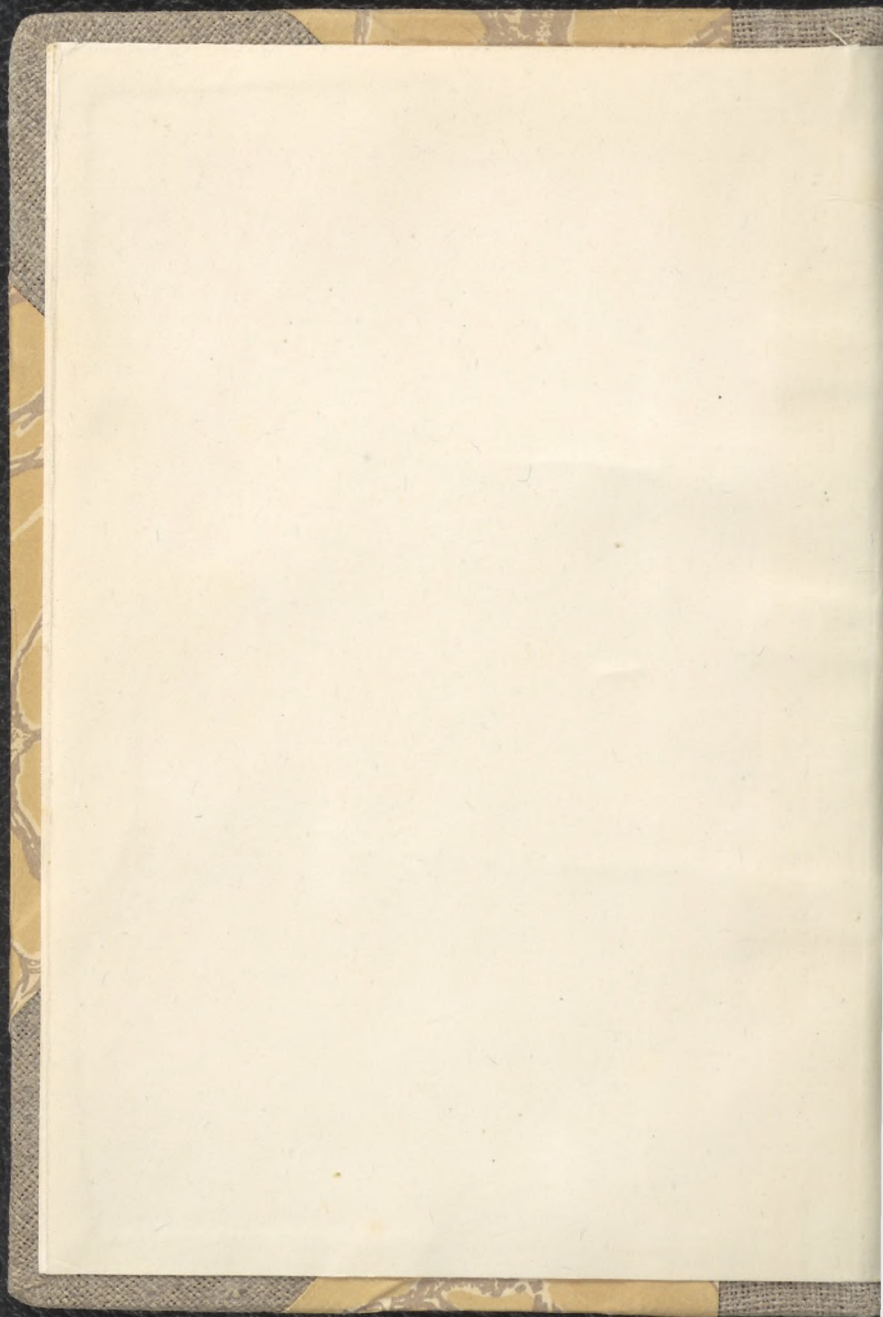


BN

BN







1462069

BIBLIOTECZKA DLA DZIECI

Świat Bajek

ZBIÓR BAJECZEK
DLA GRZECZNYCH DZIECI



— WARSZAWA. — KRAKÓW. — LWÓW.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

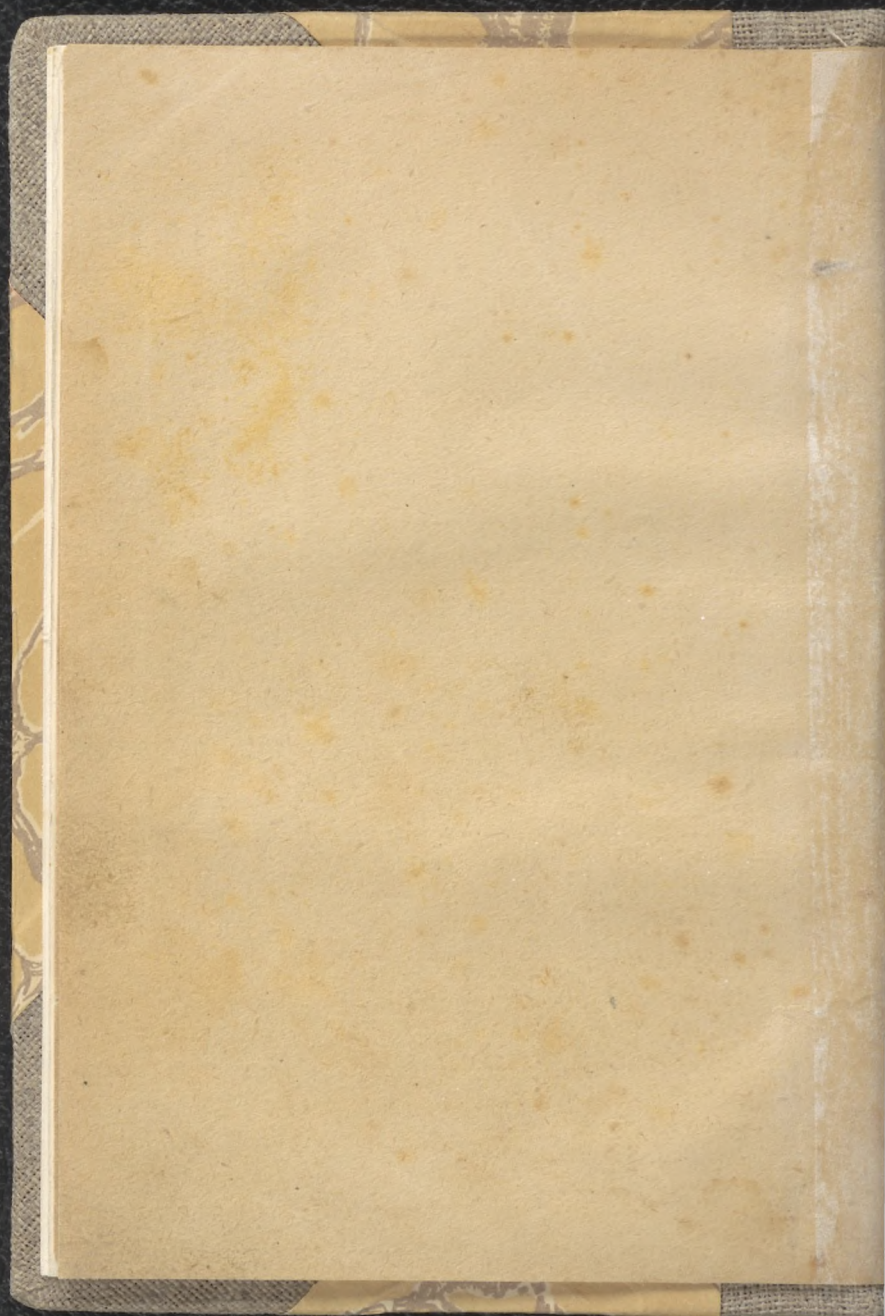
I 1.462.069



Druk. Sikora, Warszawa

1983 k 509/20

Z CHŁOPA KRÓL



Na imię mu było Gawel, był najmłodszym z braci — wszyscy oni uchodzili za rozumnych, jego głuptaskiem nazywano; nie dlatego, żeby rozumu nie miał, ale że serce w nim było tak miękkie, że o sobie nie pamiętając nigdy, nad drugimi się litując, zawsze w końcu pokutować za to musiał.

Bywało, siada u jednej miski, bracia go zawsze odjedzą, a w końcu jeszcze i łyżkami po głowie biją, z czego on się śmieje... Najgorszą koszulinę zawsze miał, podarte łapcie, ale się tem nie gryzł i choć czasem przymarzył a wyglodził się, ale widział, że drudzy mieli do syta, a dobrze im było — on radował się także. Starsi od niego zawsze co chcieli wydurzyli, a potem wyśmiewali się z niego. Ojciec i matka gryzli się tem, bo przewidywali, że na

świecie źle mu będzie i nigdy nie dojdzie do niczego. Zostawiono go czasem w chacie do dozoru — nie obeszło się bez szkody. Przyszedł ubogi, a prosił, Gawęł mu oddał co gdzie znalazł, bodaj koszulinę z grzbietu, a zwierzęta karmił od gęby sobie odejmując, a każdemu na słowo wierzył i oszukiwał go kto chciał.

Ojciec go kilka razy obił za tę głupotę aby przecie o sobie pamiętał, ale rozumu nie nabił, Gawęłek jakim był, pozostał. Miał już taką naturę.

Raz gdy nikogo w chacie nie było a Gawęł na przyzbie siedział, zjawił się przed wrotami ubogi, ale tak strasznie goły, bosy, odarty, głodny, biedny, zapłakany, osłabły, że chłopcu okrutnie go się żal zrobiło. A jak mu jeszcze zaczął opowiadać o nieszczęściu swoim, Gawęł o wszystkim zapomniał. Wziął go do chaty i co było w niej najlepszego, ojcowską koszulę, sukmanę, chodaki, czapkę, oddał wszystko. Obiad, który stał na przypiecku przygotowany, odgrzał i nim go nakarmił. Naostatek wiedząc gdzie jest ojcowski węzełek, gro-

szy co było w domu, oddał ubogiemu wszystkie, krom dwóch trzygroszówek.

Napojony, nakarmiony, odziany, ubogi odszedł błogosławiąc chłopca ale i śmiejąc się z niego potrosze...

Wkrótce potem matka z ojcem nadeszli, a Gawel im z wielką radością wypowiadał się z tego co zrobił. Ojciec wpadł w okrutny gniew, tak że go nawet matka pohamować nie mogła, począł syna kijem okładać okrutnie, grożąc że go zasiecze jeżeli się kiedy w chacie pokaże.

— Idź trutniu! — wołał — idź, gdzie cię oczy poniosą, giń marnie i niech cię nie znam.

Gdy Gawel miał już precz iść, matka się nad nim ulitowała i przez okno rzuciła mu dwie pozostałe trzygroszówki.

Wziął je biedak zasmucony, i — co było robić? — ojciec choć mu do nóg, padał, słuchać nic nie chciał musiał precz iść. Myślał sobie, jak się ojciec przegniewa, powrócę — i przebaczy. Ojciec zaś mówił — niech sam nauczy się dbać o siebie, inaczej nas zuboży i nic z niego nie będzie.

Wyszedł tedy Gawel na gościniec, popatrzał — dokąd tu mu iść?.. wstchnął do Boga i puścił się gdzie oczy poniosą.

Jeszcze się był niedaleko od wsi odsadził, gdy spotkał jednego ze swych braci.

— A dokąd to?

— W świat idę, ojczyisko się pogniewało, nabił mnie i kazał precz iść a na oczy mu się nie pokazywać.

Starszy brat roześmiał się i rzekł:

— Dobrze ci tak, boś głupi. Jak rozumu nabierzesz, wówczas powrócisz.

Odwrócił się od niego śmiejąc i poszedł.

Trochę dalej pod gruszą, patrzy, siedzi brat drugi i pyta go:

— Dokądże to?

— A no; w świat, bo mnie ojciec wyгнаł precz.

Drugi brat śmiać się też począł i powiada:

— Szczęśliwej drogi, głupi Gawelku! Będzie nas mniej, to się lepiej najemy.

Szedł więc Gawel, szedł aż trzeci brat pędzi woły z paszy.

— A ty dokąd?

— Z chaty mnie wygnali... bywaj zdrów, wędrować muszę, a na drogę nie mam ino dwa trzygroszniaki.

Trzeci brat ruszył ramionami.

— Ja bym ci i złamanego szeląga nie dał—odezwał się—takiemu głupcowi jak ty dawać, to w dziurawy worek tkać. Bywaj zdrów!

Pożegnawszy się w ten sposób z rodziną, nie miał już Gawel co robić we wsi i okolicy i przyśpieszywszy kroku, puścił się nieznaną drogą. Głodno mu było, smutno bardzo po swoich, ale jednak Panu Bogu ufał. Kogo Bóg stworzył, tego nie umorzył — mówił sobie. Kraj dokoła stał jakiś pusty bardzo. Szedł tedy, szedł, nikogo nie spotykając długo, aż idzie człek naprzeciw, a na plecach worek niesie, w worku się coś szamocze żywego.

— Boże pomagaj — odezwał się Gawel — co to niesiecie pocziwy człeczce?

Ten stanął.

— Co ty mnie pocziwym nazywasz — ofuknął się — pocziwy to znaczy głupi... ja nim nie jestem. Niosę kota czarnego aby go utopić. Kot był

szkodnik, zamiast myszy łapać, mleko wypijał i do misek zaglądał. Uczepię mu kamień do szyji i niech idzie na dno.

To mówiąc pokazał głowę kota Gawłowi, a było to stworzenie takie śliczne lśniąc czarne, z dużemi oczyma, z pyszczkiem różowym, że się Gawłowi nieźmiernie żał go zrobiło.

— Takiemu młodemu, ślicznemu ginąć!.. Daj mi go! — rzekł do chłopca — co masz topić, ja go wezmę...

— Darmo! — zaśmiał się chłop. — O! nie, tego obyczaju u mnie niema. Wolę utopić jak dać darmo. Nabrałbym złego nałogu.

— Zapłacić nie mam czem — odparł Gaweł — całego majątku mam dwa trzygroszniaki, ale jeżeli jednym się zaspokoisz? Co robić! Byłem kotkowi życie ocalił.

Chłop podumał, ruszył ramionami, wziął trzygroszniak i kota mu oddał.

Gawełek szedł dalej, wesół, że bożemu stworzeniu życie ocalił, a kot też zdawał się rozumiec wyświadczone dobrodzieństwo, bo się do nowego pana tulił i pomrukiwał. Miał chłopiec w kieszeni chleba kawałek, więc choć sam

jeść chciał, pomyślał, że on sobie łatwiej stawy dostanie. Przełamał chleb na pół, pokruszył go i nakarmił kota, który zjadłszy z apetytem na rękę u niego usnął.

Odszedł może stai kilkoro, patrzy, znowu człek idzie i worek niesie, a w worku się coś szamocze...

— Pomagaj Bóg człecze, — rzekł stając Gawel, a co to za towar niesiecie?

— Towar? — odparł człowiek — nie towar to żaden, nie prosię tłuste, ani gęś, ale złe i niepoczciwe psisko. Drobiu mi już zdusił kilkoro, a szczeka, a po nocach wyje... przywiążę mu do szyi kamień, niech idzie na dno.

To mówiąc, pokazał psa Gawłowi, który mu się wydał bardzo śliczny. Psiuk miał taką minę, jakby się prosił aby mu życie darowano. Litość wzięła Gawła.

— Dajcie mi go — rzekł.

— Darmo? toć skóra przecie coś warta? Kuśnierz ją zafarbuje i sprzeda za lisią. Co dasz?

— Jedyne tylko, ostatnie mam trzy grosze — odezwał się Gawełek, dobywając groszniak z węzłka.

— Co robić, dawaj choć tyle—rzekł śmiejąc się człowiek — a nie, to psa zabiję albo utopię.

Targ w targ, musiał Gawel zapłacić za psa ostatnie trzy grosze, a człek mu psiuka oddał i poszedł rychocząc ze śmiechu, głupim go zowiąc, o co się Gawel nie gniewał.

Pies około niego skakał, szczekał i przypadał mu do nóg.

Trzeba go było nakarmić. Dobył chłopak ostatni kawałek chleba, pokruszył go i psu oddał... Tak tedy z kotem na rękę i psem u nogi, puścił się dalej w drogę.

Głód mu mocno dokuczał a i nogi zmęczone nie dopisywały.

Siadł więc pod gruszą, na kamieniu, myśląc, co dalej robić?

Pies się położył z jednej strony, kot z drugiej. Gawel tymczasem Panu Bogu dziękował, że mu się dwoje stworzeń uratować udało.

Tylko głód czuł wielki i w żołądku mu świdrowało. Słońce się miało ku zachodowi, w polu jak zajrzeć, ani gospody, ani miski. Co tu robić? Bieda. Ani sobie, ani zwierzętom poradzić. Dokoła

pustynia, ani jeść niema co, ani się gdzie przespać, a tu noc nadchodzi.

— Albo to Pana Boga niema? — rzekł pocieszając się Gawł.

Spojrzał na swoich towarzyszków. Kot siedział, oczy żółte to przymrużając to otwierając szeroko... Pies spoglądał na niego i ogonem kiwał.

— A co! bieda? — odezwał się wesoło do pieska...

Pies jakby go zrozumiał, zerwał się, nosem pociągnął, zaczął chodzić w koło ziemię wachać, naostatek nuż grzebać.

Grzebie, grzebie tuż przy nogach chłopca, aż się zasapał, coraz głębiej, coraz żywiej, ziemię łapami odrzuca a oczy mu się świecą, poszczekuje wesoło, coraz to spojrz na Gawła i grzebie dalej a dalej.

— Co to on sobie myśli? — rzekł w duchu Gawł — jużciż on darmo dla zabawki tego nie robi i musi coś znać i wiedzieć.

Wtem pies nozdrza zapuścił w wykopany dół, powąchał mocno, podniósł się i szczeknął, jakby w głąb wykopanej jamy pokazywał chłopcu.



Gaweł wstał, pochylił się i zajrzał... Patrzy: na samym dnie leży coś błyszczącego; rękę zapuścił głęboko i dobył pierścień, świecący, duży, piękny, ale piaskiem i ziemią oblepioną na nim okryty. Nigdy Gaweł tak wspaniałego klejnotu nie widział i oglądał go z ciekawością wielką. Złoty był, jakby ze sznura grubego upleciony, a w środku jego siedziało oko dziwne, patrzące jak ludzkie i mieniające się coraz to inną barwą. Gaweł począł go ocierać, ażeby oczyścić, ale razem i myślał sobie:

— Pierścień jak pierścień, piękna rzecz, ale co mi z tego, kiedy gospody nie ma, ani wieczerzy...

Ledwo że mu to przez głowę przeszło — patrzy — aż osłupiał... Stoi we drzwiach wspaniałej gospody, pies i kot też byli przy nim; jeden się łasi, drugi poszczekuje i prowadzą go przez wspaniałą sień, do ślicznej izby. Żywej duszy w niej nie było, ale stół nakryty bielizną białą, a na nim wieczerza taka, że dwóchby się nią królewiczów najadło, taka dostatnia i smaczna. Misą klusek z serem, aż się kurzy, chleb, masło,

kura pieczona, woda we dzbanku, piwo i miód...

Niewiele tedy myśląc, zasiadł uradowany Gawel sam jeść i dwór swój nakarmić, bo o nim zapomnieć nie mógł; a jadł wygłodzony aż mu za uszami trzeszczało i Panu Bogu dziękował, na pierścień cudowny spoglądając co tego się dorozumiewał że wszystko to jemu jedynie był winien.

Usługi około stołu nie było żadnej, ale taki osobliwy porządek, że miski i talerze, skoro się wypróżniały, znikały w oczach...

Gdy się Gawel dobrze najadł i napił, zachciało mu się spać i byłby się choć na ziemi położył, bo do tego był nawykły, ale w drugiej izbie widać było posłane łóżko, pościel śliczną, białą, a w dodatku i odzież piękną, nową, w którą nazajutrz mógł się ubrać... Więc Panu Bogu podziękowawszy, szedł do łóżka, i jak legł tak natychmiast zasnął. Kot i pies pokładli się też przy nim.

Jak długo spał, sam nie wiedział, bo sen miał tak mocny, że się nawet na drugi bok nie przewrócił. Otworzywszy oczy, zobaczył już wielki dzień

biały, słońce przyświecające wesoło, kot się umywał a pies siedział z uszami do góry i powitał przebudzenie pana wesołym szczekaniem.

Skoczył Gawełek co żywo umywać się, odziewać, a bieliznę i suknie wdziawszy, sam siebie nie mógł poznać. Na ścianie wisiąco ogromne zwierciadło w którym przejrzawszy się, przekonał, że wypiękniał przez tę noc i do królewicza był podobny...

Zaledwie się tak przystroił, trochę mu się ckliwo zaczynało robić, bo byłby co przekąsił chętnie, gdy w piewszej izbie zobaczył stół nakryty, i już go zachodził zapach krupniku, tak pokuśliwy, że musiał do misy biedz co rychlej aby nie ostygł.

O kocie i psie nie zapominając, dobrze się posilił Gaweł. Cóż tu dalej robić? Siedzieć tak w niemej tej gospodzie samemu jednemu, jeść, pić i spać tylko — nudno. Pomyślał tedy sobie — trzeba w drogę dalej...

To mówiąc potarł swój pierścień i oto w mgnieniu oka, znalazł się znów na drodze, sam jeden ze psem tylko i kotem. Gościniec tylko był inny, nie

ten, którym szedł wczoraj. Szeroko wybity, wysadzany wielkimi starymi drzewami, ciągnął się jak okiem zajrzeć krajem wesołym i żyznym, na który miło było popatrzeć.

Ludzi na polach uwijało się około roboty mnóstwo; złociste pojazdy szły drogą; na prawo i na lewo dwory, pałace i wioski widać było wesołe. Szedł więc Gawęł dalej, w cieniu drzew powoli, wszystkiemu się przypatrując, a nie spiesząc. Przed nim biegł pies, za nim sunął się kotek...

Ponieważ Gawęł w kieszenie nabrał chleba podostatkiem, nie potrzebował już we dnie gospody, siadł pod drzewami, sam się najadł i swoich towarzyszy nakarmił. Dopiero pod wieczór trzeba było o noclegu pomyśleć.

Znalazła się też jak raz wieś bardzo wielka i porządna, do miasteczka podobna, bo w środku jej było targowisko dokoła domami ostawione. Właśnie w chwili gdy wchodził tu Gawęł, ogromne zbiorowisko ludu napełniało plac, a w środku na koniach stali ludzie i głośno coś z papieru czytali.

Widać było po konnych, iż z urzędu zostali posłani, bo mieli na sobie suknie wyszywane z herbami, i kapelusze z piórami na głowach, a jeden wprzód trąbił nim drugi miał czytać, aby ludzie słuchali...

Cały tłum stojący dokoła zafrasowane bardzo miał twarze; niektórzy ręce łamali i rozpaczać się zdawali. Ten co na koniu siedział, czytał co następuje z papieru:

— Z rozkazu króla Jegomości Gwoździka, ogłasza się wszystkim wier-
nym jego poddanym, że oto wielkie nie-
szczęście grozi państwu, albowiem po-
tężny ale niegodziwy sąsiad, król Strasznej
Góry, Bimbas, z wojskiem nieprzelicz-
nym ciągnie przeciw Gwoździkowi i chce
kraj zniszczyć i zawojować. Ktoby prze-
ciwko niemu wystąpił, a Gwoździka
i jego państwo od zagłady uratował,
temu król rękę swej córki jedynaczki,
najpiękniejszej z królewien Marmuszki,
przeznacza i po sobie mu królestwo
przekáže!

Słuchał tego czytania Gawel —
i natychmiast spytał stojącego przy so-
bie wieśniaka którądy drogą do zagro-

żonej stolicy i gdzie się nieprzyjaciel znajdował?

Na to jeden z heroldów odpowiedział, że Bimbas z wojskiem stał już o pół dnia od miasta, a do niego stąd nie było dalej jak dzień drogi.

Gaweł począł zaraz pierścionek swój trzeć i żądać, aby mu się wojsko stukusieczne zebrało dla pobicia nieprzyjaciela króla Gwoździka; miał bowiem na myśli ożenić się potem z królowną Marmuszką — no — i spokojnie sobie panować temu królestwu. Jeszcze pierścień tarł gdy sam ujrzał się na koniu, a poza wsią zaczęło się ukazywać wojsko wielkie i trzech wojewodów przwibiegło do niego po rozkazy.

Gaweł wyjechał przez zdumiony lud się przerzynając, wśród okrzyków radosnych do swojego wojska, rozkazując mu biedz przeciwko Bimbasowi na obronę stolicy... Sam też z wojewodami puścił się w cwał, zapomniawszy nawet o swoim kocie i psie; ale oni oba tuż za koniem biegli nieodstępnie.

Nim rozedniało, wojsko Gawłowe, on i wojewodowie, już byli pod murami stolicy Gwoździka, który sie był zamknął

w niej i ludzi miał mało i już nie wiedział co począć.

Bimbas tymczasem zbliżał się zapewniony, że nie znajdzie siły, któraby mu się opierać śmiała, gdy Gawel ze trzema wojewodami i wojskiem swem jak piorun spadł na niego.

Co się tam działo opowiedzieć trudno; dosyć, że jak zajrzeć, pola okryły się trupami, a sam Bimbas zaledwie z życiem uszedł. Gawel zaś po odniesieniu zwycięstwa, pod murami stolicy króla Gwoździka położył się obozem, i trzech swoich wojewodów wysłał w poselstwie z pozdrowieniem, dopominając się królowny Marmuszki w małżeństwo, wedle uroczyście danego na to słowa.

Król Gwoździk, który z wieży na odniesione zwycięstwo patrzył wraz z królowną, natychmiast wyjechał na spotkanie przyszłego zięcia. Król był staruszek zgrzybiały maleńki, a koronę miał ciężką i wielką na łysej głowie, która mu ciągle aż na nos prawie opadała, tak, że ją podtrzymywać musiał.

Przywitał go Gawel u namiotu swojego, uściskali się, przyczem Gwoździk koronę pod pachę wziął bez ceremonji

poprowadził go na zamek do córki Tu wystrojona królewna Marmuszka czekała już na narzeczonego, w szatach ze złotogłowi — a piękna tak, że jak od słońca bił blask od niej, ale minkę miała dumną, na wybawcę spoglądała z góry.

Gwoździak, pocziwie człowieczysko koronę rzuciwszy do kufra i pozbywszy ceremonialnych strojów, w doskonałym humorze siadł za stół. Wesele Gawła z królewną Marmuszką odbyło się tegoż dnia, przy wielkiej radości wszystkich mieszkańców stołecznego grodu.

Byli na niem jeszcze trzej wojewodowie Gawła i wojsko jego całe stało pod murami, ale że bardzo dużo jadło i piło, król Gwoźnik przymówił się wpręde, czyby go nie można rozpuścić.

Gaweł zgodził się na to, i poszedłszy w kątek potarł swój pierścień, wydając stosowne rozkazy. Nazajutrz i wojewodów i wojska nie stało a Gaweł pozostał sam z żoną.

Wkrótce jakoś potem stary Gwoździak który pić i jeść, a za stołem długo przesiadywać lubił, zjadłszy na wieczerzę ogromny krąg kielbasy i wypiwszy całą

stągiew piwa, w nocy Panu Bogu ducha oddał. Sprawiono mu pogrzeb wspaniały poczem Gawła ukoronowano razem z jego żoną i poczęło się panowanie.

Kotek i pies przy nowym królu nieodstępni byli ciągle.

Jak Gawel królował? domyślić się łatwo, znając dobre jego serce. Począł od tego, że biedny lud od wszelkich podatków i od ciężkich danin uwolnił, dla ubogich pozakładał szpitale i domy przytułku, a po całych dniach z kotem i psem chodząc, szukał żebraków, kalek i sierot, aby im pomagać, ratować, odziewać i karmić.

Królowej się to nie podobało, a jeszcze mniej wszystkim panom przy dworze, którzy na to nosem kręcili, że Gawel ich pochlebstw nie słuchał i nie obdarzał ich, a cały był biednym oddany.

Zaczęli więc panowie owi podrwiwać z króla i nawet ośmielili się przed królową przebąkiwać, że król to był osobliwy jakiś i musiał chyba sam być lichej kondycji, kiedy się tak kochał w pospolitym gminie.

Ubodło to królowę, która, choć męża dosyć kochała, dumną była z tego, iż pochodziła z wielkiego rodu Gwoździków i Cwieczków. Zaczęła więc wypytywać męża o jego ród i genealogję. Gawel śmiejąc się, zbywał ni tem ni owem, czem wielką wzbudził w niej ciekawość.

Zaczęła mu się więc bardzo przy-
milać królowa, udawać dla niego nad-
zwyczajną miłość i zaręczać mu, że
choćby prostym chłopem był, ona rów-
nie kochałaby go zawsze i wdzięczną
mu była za ocalenie królestwa. Zwolna
też coraz natarczywiej dowiadując się
i badając go królowa Marmuszka, jed-
nego wieczora, gdy sami byli i siedzieli
w ogrodzie słuchając słowików, zaczęła
go usilnie prosić i zaklinać, aby jej hi-
storję swoją, od dzieciństwa poczynając,
opowiedział. Gawel, dobroduszny, wy-
znał jej wszystko, a naprzód, że prostym
chłopskim synem był, i jakim sposobem
do tego cudownego pierścienia doszedł.
Nie krył się nawet z tem, gdzie ten
swój skarb nosił, i jak go potrzebą by-
ło używać.

Królowa Marmuszka dowiedziawszy

się o tem, że zaślubiła chłopca, nie dała tego znać po sobie, ale niezmiernie się gryzła, postanawiając zgubić go i od niego się uwolnić.

Jednego tedy razu, gdy Gawel mocno zasnął, wcale się nie obawiając niczego, zakradła się królowa i pierścień mu zręcznie z zanadruza dobywszy, na swój palec włożyła, żądając od niego, aby Gawel natychmiast przeniesiony został do wielkiej wieży, na pustej wyspie wśród morza, i tam do śmierci pod strażą siedział, więcej ani jej, ani królestwa swojego nie oglądając.

Gdy poczciwy Gawel obudził się, już był wedle rozkazania żony zamknięty i zobaczył, że pierścienia nie miał, domyślił się że go zdradziła królowa.

Wdrapał się na górne piętro wieży aby choć zobaczyć gdzie go osadzono, i ujrzał dokoła tylko jedno morze, a jak okiem zajrzeć, małą wyspę skalistą, o którą się bałwany rozbijały, i morskie ptactwo, które żałośnie piszczał, latało dokoła.

Kogo mu najbardziej żal było, to kota i psa, przyjaciół swych wiernych, których tu z nim nie było. Ale, gdy się

to działa, ów pies i kot również po całym zamku swojego pana szukali, biegali, wachali, nie mogąc się domyśleć co się z nim stało. Piesek dopiero pierścień spostrzegłszy na palcu u królowej, bo ta go nigdy nie zrzuciła, domyślił się, iż zdradą pozbyła się męża. — We dwu z kotem osnuli więc plan, jakimby sposobem mogli dobrego pana pomścić i uwolnić.

Kot począł od tego, że z zajadłością największą rzucił się na myszy zamkowe, aby zmusić je do pomocy, dla odzyskania pierścienia. On i pies, który mu we wszystkim dopomagał, tępili je bez miłosierdzia. Wkońcu też do ostateczności doprowadzone myszy, którym na zamku dobrze było i wynosić się z niego nie chciały, zwołały sejm w piwnicy.

Począwszy radzić z wieczora, ponieważ głosy były podzielone, a każda mysz chciała długą mowę powiedzieć i pochwalić się, że umie pięknie mówić — radziły do rana i — nic nie uradziły. Nazajutrz zwoławszy się znowu o mało się nie pokąsały. Cała gromada podzieliła się na dwa obozy, a trzeci

stał w pośrodku, aby je zgodził. Tego zagryziono na śmierć. Dziesiątego dnia, gdy kot coraz okrutniej pastwił się nad niemi, postanowiono nareszcie wysłać do niego poselstwo...

Kot przyjął je, ale zapowiedział, że o żadnym modus vivendi mowy być nie może, dopóki myszy mu pierścienia od królowej nie dostaną. Wyszpiegował on, że w nocy królowa go w ustach trzymała, z obawy, aby się z palca nie zsunął, bo rękę miała małą i paluszki cienkie, a pierścień był duży.

Myszy tedy ratując naród swój od zagłady, musiały wkraść się do sypialni i czatować. A że to są stworzenia bardzo przemyślne i mądre, obmyśliły łaskotać tak śpiącą Marmuszkę, aby śpiąca pierścień z ust wypuściła. Raz i drugi się to nie udało, naostatek, gdy ciągle myszki ogonkami jej około ust poczęły łaskotać, królowa otworzyła je a pierścień wypadł i zsunął się na podłogę; tu pies i kot czekali już i pies chwyciwszy pierścień, natychmiast skrobać począł do drzwi, skomlić, aż służąca wstawszy wypuścić go musiała.

Pies i kot razem tejże nocy wykradli

się precz z zamku i z miasta w pole, a że wiedzieli już instynktem, że Gaweł na wyspie pustej wśród morza się znajdował, wprost do morza dążyli... Szli i szli, bo bardzo daleko było od brzegu, aż nareszcie dostali się do niego. Ale jak tu się przez wodę przepawić?

Kot nie umiał pływać, a nie chciał się zostać bo utrzymywał, że bez niego się tam nie obejdzie. Ułożyli się więc, ażeby pies wziął go na grzbiet, a kot miał w pysku pierścioneńkę nieść, i tak do wyspy płynąć mieli.

Wszystko z początku szło pomyślnie, byli już na pół drogi od wyspy, którą zdala widzieli, gdy pies zapytał kota.

— Masz pierścienie? — A mam! — odparł kot — ale gdy to mówił, otworzył gębę i — pierścienie wypadł z niej i w głębi morza utonął. Nie śmiał się już do tego przyznać ze strachu, aż stanęli na wyspie. Tu się pies pyta:

— A gdzie pierścienie?

— Trzymałem go wiernie — rzekł kot z boleścią — ale gdyś mnie zapytał niepotrzebnie, otworzyłem pyszczek

aby odpowiedzieć i... pierścień poszedł na dno morza.

Pies wpadł w ogromną wściekłość.

— Kociel! zdrajco jakiś — zakrzyczał — rób co chcesz! ratuj się jak możesz, ale to ci przysięgam na Cerbera, że jeśli mi pierścienia jakimkolwiek sposobem nie odzyskasz, zagryzę cię na śmierć... a sam też potem głodem się zamorzę.

Kot nie miał innego sposobu, bo prostaczkim był i wymyśleć nic nowego nie umiał, tylko tak samo sobie postąpić z rybami jak na zamku z myszami. Stał więc by czatować na ryby i dusić je bez miłosierdzia.

Tysiące trupów leżało na brzegu; morderstwo było okrutne, ryby się przestraszyły. Zwołały więc i one sejm wielki, ale daleko inny niż myszy. Zasiadły ogromne jesiotry, łososie, szczupaki i różne ich matadory, w jednej chwili uradziwszy poselstwo do kota. Drobne rybki musiały słuchać, i ani myślały się sprzeciwić, boć im nawet głosu nie dano.

Kot już czekał na brzegu. Jesiotr

stary począł do niego mowę, ale tej on ani chciał wysłuchać.

— Śmierć wam wszystkim—zamiau-
czał — jeśli mi pierścienia nie dosta-
niecie. Róbcie co chcecie, inaczej pokoju
nie będzie! Natychmiast ryby wielkie
którym się nie chciało samym w błocie
i szlamie brukać na dnie, wykomende-
rowały dziesięć tysięcy maleńkich, aby
pierścienia szukały i tegoż dnia uboga
płotka go przyniosła... Stary jesiotr go
jej odebrał i popłynął do kota.

Radość była wielka, ale na tem
nie koniec. Pierścień wprawdzie mieli,
a dostać się z nim do środka wieży nie
było sposobu. Nie było do niej żadnego
wniścia, żadnej dziury, żadnego okna
i tylko wierzch miała otwarty, któredy
powietrze wchodziło. Kot więc ofiarował
się wdrapać na mur do pana... Pies
został pod wieżą, siadł na skale i pil-
nował.

Lezie tedy kot, lezie, trzyma się
pazurami kamieni, dobrał się do poło-
wy wieży, a tu go siły opuściły... i...
buch... na ziemię. Ale że kot zawsze
na nogi pada, więc mało co się utrzęsł.—
Pies ząwarczał:

— Musisz się dostać na górę, a nie, to zagryzę, próbuj drugi raz!

Ledwie wytchnąwszy, kot po raz wtóry począł wędrówkę po murze i spadł znowu, a pies go za kark pochwyił i o mało nie zdusił.

— Poleżę raz jeszcze—jęknął kot—tylko daj mi odetchnąć.

Za trzecim razem kot już tak pazurami się chwytął i wybierał dobrze kamienie, że się do wierzchołka dostał.

Gaweł właśnie siedział tam na ławce kamiennej i tęsknie na morze spoglądał, gdy swojego poczciwego kota zobaczył, który bezsilny padł u nóg jego, a razem i złoty pierścień się potoczył...

Pochwyił go Gaweł uradowany, biedne stworzenie razem na ręce biorąc, bo kot już ledwie dyszał...

Ponieważ go tam na wieży o suchym chlebie i wodzie trzymano, król Gaweł głodny był i zmizerowany, więc potarł pierścień, żądając gospody, dla siebie, psa i kota.

I w teje chwili znaleźli się wszyscy za stołem w tej samej izbie, w

której Gawel już raz bywał, gdy od rodziców wyszedł... Nie tylko odpocząć, zjeść i napić się potrzebował, a towarzyszków nakarmić, ale i o tem pomyśleć co dalej robić. Do królowej, która go tak niegodziwie zdradziła, powracać nie bardzo chciał, chociaż ją kochał. — Wszelako pięknego królestwa żał mu było, a nadewszystko ubogich, żebraków, kalek i wszystkich biedaków, którym mógł być pomocą i opieką.

Wypawszy się i najadłszy, nimby coś postanowił Gawel, zażądał on sobie przejść się trochę między zielonością i drzewami, których nie widział dawno — znów więc na tę samą wybrał się drogę co w pierwszej podróży i trafił do tej samej wioski.

Dziwna rzecz, tak jak pierwszym razem, znalazł się tłum ogromny na rynku, przestraszony i lamentujący.

— Poczciwi ludzie, co się tu u was znowu dzieje — zapytał — biedę jakąś widzę macie?

— Och! bieda, bieda! — odpowiedział wójt — a już nas teraz nikt ratować z niej nie przyjdzie. Królowa i królestwo padnie ofiarą. Niewiadomo

co się z królem Gawłem stało, który panem był rozumnym i silnym. Teraz, gdy go niema, niepocziwy Bimbas dowiedział się o tem, ciągnie na stolicę i zawojuje nas, a zawojowawszy każe swoim językiem gadać, do swoich modlić się bogów i zażąda, abyśmy wszyscy skórę z siebie pozdzierali a powkładali tę, którą on nam narzuci. A to jest najstraszniejsza rzecz, jaka naród biedny spotkać może.

Gaweł słuchał i dumał. Do królowej żal miał wielki, to prawda, ale czyż za to królestwo jego pokutować miało?

Potarł więc pierścień, żądając sto tysięcy wojska i trzech wojewodów. W mgnieniu oka wojewodowie nadbiegli, wojsko stanęło, Gaweł na koniu siedział i ciągnął pod stolicę na odsiecz!..

Gdy się tu wojsko jego pokazało a Bimbas je zobaczył, nie czekając bitwy, począł uciekać... Bito więc ich w pogoni na kapustę siekąc, a i sam niepocziwy Bimbas padł na placu.

Królowa z zamku patrzyła i rwała się ze strachu. Wprawdzie nieprzyjaciel został odparty, ale Gaweł, mąż jej, chciał się na niej pomścić za zabicie...



BIBLIOTECA
BN
MUSEO
NACIONAL

Przebłagać go, nie widziała sposobu...
Zwycięski pan wchodził już do swej
stolicy...

Marmuszka zamknęła się w izbie,
i padłszy na ziemię, losu strasznego,
jaki ją spotkać musiał, czekała, będąc
pewna, że król ją teraz na tę samą
pustą wyspę zesze, aby tam w wieży
siedziała. — Ale Gawęł nadto pocziw
i dobry był, ażeby się miał mścić srogo...
Otworzono wrota, panowie i starszyzna
plackiem padła pod nogi panu, udając
niezmierną radość z jego powrotu...

Gawęł nic nie mówiąc, wprost do
żony prowadzić się kazał. Staął we
drzwiach.

- A co? królowo Marmuszko —
rzekł — a tom ja znów zjawił się w porę.
Nieprawdaż? Na wieży mi się strasznie
nudziło, Pan Bóg pomógł, przyjaciele
poratowali... Musimy tedy znowu żyć
razem, bo co się sobie raz ślubowało,
to się rozerwać nie może...

Mógłbym się ja mścić, ale nie chcę.
Podła to rzecz...

Bez kary jednak słusznej nie ujdiesz,
królowo moja.

Tu Marmuszka głowę podniosła słuchając.

— Jestem sobie prosty chłop... Gawęł... z chłopą królem zostałem i z tem się nie taję. Poszłaś za mnie Marmuszko, jesteś żoną moją, więc wraz ze mną musisz za karę iść i rodzicom moim w chacie ubogiej, do stóp się pokłonić... Naówczas wszystko ci przebaczę i zapomnę.

Królowa Marmuszka uściskała nogi jego i na wszystko się zgodziła.

Nazajutrz jak dzień, potarł król pierścień, żądając być na drodze do chaty rodziców... I on i Marmuszka, oboje w koronach złotych, w płaszczach z gronostajami, za niemi dwór, wozy, konie, skarby, aż strach. Idą, idą aż jeden z braci Gawłowych pędzi woły z paszy, i zobaczywszy króla, padł na ziemię przestraszony, bijąc czołem. A był w prostej sukmanie, odarty i brudny. Stanął król śmiejąc się.

— A coś to ty mnie nie poznał?... Tociem Gawęł, rodzony twój brat, tyłkom się przez moją głupotę korony dorobił, gdy ty z swoją mądrością woły pasiesz. Wstawaj i chodź z nami.

Musiała tedy królową Marmuszka ścierpieć, że chłop jeden już przy niej szedł.

Trochę dalej, patrzą, idzie brat drugi, chude konie popędzając. Zobaczywszy orszak królewski, co prędzej na bok odegnał szkapy i nie śmiejąc nawet spojrzeć na Gawła, padł pozdrawiając go. A ten woła:

— Wstawaj! nie poznałeś mnie, brat twój jestem, chodź z nami.

Pod samą chatą nastraszył się ich tak samo brat trzeci — i zbliżyli się narreszcie do wrót.

Ojciec i matka wybiegli się przypatrywać orszakowi, który się zatrzymał. Rodzice oboje nie poznali Gawła, aż po głosie, gdy się odezwał do nich i pokłonił obojgu...

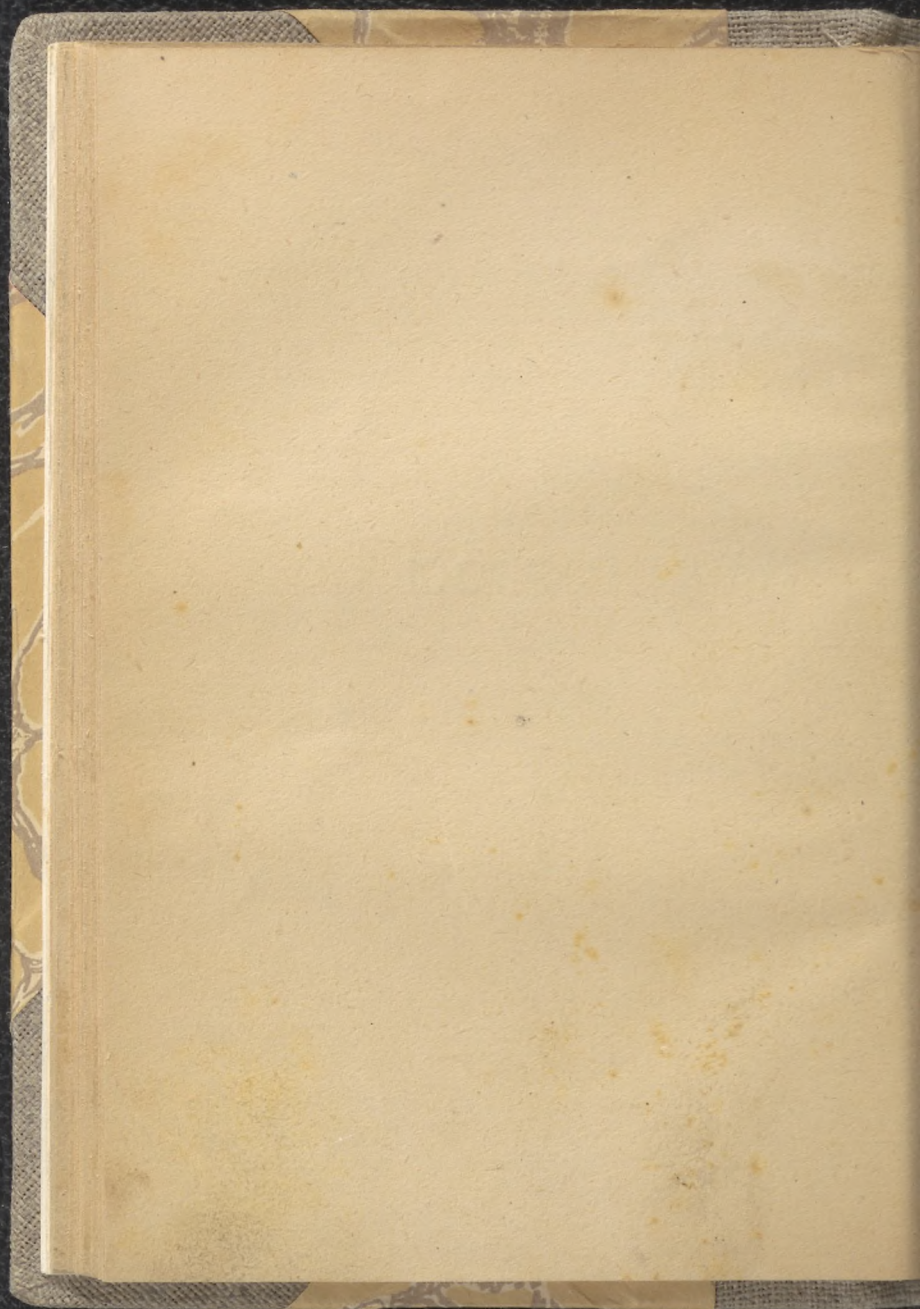
— Bóg wam zapłać, kochani moi, żeście mnie precz z chaty wygnali, bo gdyby nie to, nie doszedłbym do królestwa i nie mógłbym wam na starość być pomocą. Więc, dziękuję wam z duszy, a gdy mnie Bóg na tronie posadził, abym nie zapomniał nigdy żem taki człek jako i inni ludzie, chodźcie wy ze mną i zasiądźcie przy mnie w

chłopskich sukmanach, abym się pokory
uczył i w dumę nie wzbijał.

To rzekłszy, Gawęł rodziców swych
poszanowawszy, zabrał ich z sobą do
stolicy, w której gody nowe sprawiwszy,
sto lat szczęśliwie królował z królową
Marmuszką, a synowie jego po dziś
dzień w tem państwie panują.



KWIAT PAPROCI



Od wieków wiecznych wszystkim wiadomo, a szczególnie starym babusiom, które o tem szeroko a dużo opowiadają wieczorem przy kominie, gdy się na nim drewna jasno palą i wesoło potrzaskują, że nocą św. Jana, która najkrótszą jest w całym roku, kwitnie paproć, a kto jej kwiatusek znajdzie, urwie i schowa, ten wielkie na ziemi szczęście mieć będzie.

Bieda zaś cała z tego, że noc ta jest tylko jedna w roku a taka niezmiernie krótka, i paproć w każdym lesie tylko jedna zakwita, a to w takim zakątku, tak ukryta, że nadzwyczajnego trzeba szczęścia aby na nią trafić.

Ci co się na tych cudowiskach znajdują, mówią jeszcze i to, że droga do kwiatu bardzo jest trudna i niebezpieczna, że tam różne strachy przeszkadzają,

bronią, nie dopuszczają i nadzwyczajnej uwagi potrzeba, aby zdobyć ten kwiat.

Dalej jeszcze powiadają, że samego kwiatka w początku rozeznac trudno, bo się wydaje maleńki, brzydki, niepozorny, a dopiero urwany przemienia się w cudownej piękności i jasności kielich.

Że to tak bardzo trudno dojść do tego kwiatuszka, i ułapić go, że mało kto go oglądał, a starzy ludzie wiedzą o nim tylko z posłuchów, więc każdy rozpowiada inaczej i swojego coś dorzuca.

Ale to przecież pewna, że nocą świętojańską on kwitnie, krótko, póki kury nie zapieją, a kto go zerwie, ten już będzie miał co zechce.

Pomyśli tedy sobie, choćby najcudowniejszą rzecz, ziści mu się wnet.

Wiadomo także, iż tylko młody może tego kwiatu dostać i to rękami czystymi.

Stary człowiek choćby nań trafił, to mu się w palcach w pruchno rozsypie.

Tak ludzie bajają, a w każdej baśni jest ziarenko prawdy, choć obwijają ludzie w różne szmatki to jąderko, że

często go dopatrzeć trudno, ale takie ono jest.

I z tym kwiatkiem to jedno pewne, że on nocą św. Jana zakwita.

Pewnego czasu był sobie chłopak, któremu na imię było Jacuś, a we wsi przezywali go ciekawym, że zawsze szperał, szukał, słuchał, a co było najtrudniej dostać, on się najgoręcej do tego garnał... taką miał już naturę. Co pod nogami znalazł, po co tylko ręką było sięgnąć, to sobie lekceważył, za ba-i-bardzo miał, a o co się musiał dobijać, karku nadłamać, najwięcej mu smakowało.

Trafiło się tedy raz, że gay wieczorem przy ogniu siedzieli, a on sobie kij kozikiem wyrzynał, chcąc koniecznie psią głowę na nim posadzić -- stara niemczycha, baba okrutnie rozumna, która po świecie bywała i znała wszystko, poczęła opowiadać o tym kwiecie paproci...

Ciekawy Jacuś słuchał i tak się zasłuchał, że mu aż kij z rąk wypadł a kozikiem sobie omal palców nie pozarzynał.

Niemczycha o kwiecie paproci roz-

powiadała tak, jakby go sama w żywe oczy widziała — choć po jej łachmanach szczęścia nie było znać. Gdy skończyła, Jacuś powiedział sobie: — niech się dzieje co chce a ja kwiatu tego muszę dostać.

Dostanę go, bo człowiek kiedy chce mocno, a powie sobie że musi to być, zawsze wkońcu na swoim postawi.

Jacuś to często powtarzał i takie miał głupie przekonanie.

Tuż pod wioską, w której stała chata rodzicieli Jacusia, z ogrodem i polem — był niedaleko las, i pod nim właśnie obchodzono Sobótki, a ognie palono w noc świętojańską.

Powiedział sobie Jacuś: — gdy drudzy będą przez ogień skakali i łydki sobie parzyli, pójdę w las i znajdę ten kwiat paproci. Nie uda mi się jednego roku, pójdę na drugi, na trzeci, i będę chodził póty, aż go wyszukam i zdobęde.

Przez kilka miesięcy potem czekał, czekał na tę noc, i o niczem nie myślał, tylko o tem. Czas mu się strasznie długim wydawał,

Naostatek nadszedł dzień, zbliżyła się noc, której on tak wyglądał; ze wsi wszystka młodzież się wysypała, ognie palić, skakać, śpiewać i zabawić się.

Jacuś się umył czysto, wdział koszulinę białą, pasik czerwony nowy, łapcie lipowe nienoszone, czapeczkę z pawiem piórkiem, i jak tylko pora nadeszła a mrok zapadł, szmyrznął do lasu.

Las stał czarny, głuchy, nad nim noc ciemna, z mrugającymi gwiazdkami, które świeciły, ale tylko sobie, bo z nich ziemi nie było pożytku.

Znał Jacuś dobrze drogę w głąb lasu po dniu, i jaką ona bywała w powszedni czas. Teraz gdy się zapuścił w głąb — osobliwsza rzecz, nie mógł ani wiadomej drożyny znaleźć, ani drzew rozpoznać. Wszystko było jakieś inne. Pnie drzew zrobiły się ogromnie grube, powalone na ziemi. Kłody powyrastały tak, że ani ich obejść, ani przez nie przeleźć; krzaki się znalazły gęste a kolące, jakich tu nigdy nie bywało; pokrzywę piekły, osty kasały. Ciemno, choć oczy wykół, a wśród tych zmro-

ków gęstych, coraz to zaświeci para oczu jakichś i patrzą na niego, jakb go zjeść chciały, a mienia się żółto, zielono, czerwono, biało, i — nagle migną i gasną. Oczu tych na prawo, na lewo, w dole, na górze, pokazywało się mnóstwo, ale Jacuś się ich nie uląkł. Wiedział, że one go tylko nastraszyć chciały i pomrukiwał że to strachy na lachy!

Szedł dalej, ale co to była za ciężka sprawa z tym chodem! Tu mu kłoda drogę zawałiła, to on przez nią się przewalił. Drapie się drapie, a gdy na wierzch wlaź i ma się spuścić patrzy, a ona się zrobiła taka mała, że ją mógł nogą przestąpić.

Dalej stoi na drodze sosna, w górze jej końca niema, dołem pień jak wieża gruby. Idzie wkoło niego, idzie aż gdy obszedł, patrzy, a to patyk taki cienki, że go na kij wyłamać by można.

Zrozumiał tedy, że to wszystko było zwodnictwo nieczystej siły.

Potem stanęły na drodze gaszcze takie że ani palca przez nie przecisnąć, ale Jacuś jak się rzucił, pchnął, za-

machnął: zdusił je, zmiętosił, połamał i przedarł się szczęśliwie...

Idzie, aż moczar i błoto. Obejść ani sposób. Spróbował nogą, grzęźnie, że ani dna dostać. Gdzieniedzie kępi-ny wystają, więc on z kępy na kępę. Co stąpi na którą, to mu się ona z pod stóp wysuwa, ale jak począł biedz, dostał się na drugą stronę błota. Patrzy za siebie, aż kępi-ny wyglądają gdyby ludzkie głowy z błota i śmieją się... Dalej już, choć kręto i bez drogi, szło mu łatwiej, tylko się tak obłąkał, że gdyby mu przyszło powiedzieć którądy nazad do wsi jużby nie umiał rozpoznać w której stronie leżała.

Wtem patrzy, przed nim ogromny kwiat paproci, ale taki jak dąb najstarszy, a na jednym liściu jego u spodu, świeci się gdyby brylant kwiatuśzek jak przyklepiony... pięć w nim listków złotych, w środku zaś oko śmiejące się, a tak obracające ciągle jak młyńskie koło... Jacusiowi serce uderzyło, rękę wyciągnął, i już miał pochwycić kwiat gdy nie wiedzieć skąd, jak... kogut zapiał; kwiatek otworzył wielkie oko, błysnął niem i — zgasnął. Śmiechy tylko dały się

słyszeć dokoła, ale czy to liście szemrały, tak czy się co śmiało czy żaby skrzeczały, tego Jacuś rozpoznać nie mógł, bo mu się w głowie zawieruszyło, zaszumiało, nogi jakby kto podciął, i zwałił się na ziemię.

Potem już nie wiedział co się z nim stało, aż się znalazł w chacie na pościeli, a matka płacząc mówiła mu, że szukając go po lesie, nad ranem pół żywego znalazła.

Jacuś sobie teraz wszystko dobrze przypominał, ale do niczego się nie przyznał. Wstyd mu było. Powiedział sobie tylko, że na tem nie koniec, przyjdzie drugi św. Jan, zobaczymy...

Przez cały rok tylko o tem dumał, ale żeby się z niego ludzie nie naśmiewali, nikomu nic nie mówił. Znowu tedy umył się czysto, koszulę włożył białą, pasik czerwony, łapcie lipowe nieznoszone — i gdy drudzy do ogni wyszli, on w las.

Myślał że znowu mu przyjdzie się przedzierać jak pierwszym razem, aż ten sam las i taż sama droga, zrobiła się zupełnie inną. Wismukłe sosny, i dęby stały porozstawiane szeroko, na

gołem polu kamieniami posianem... Od jednego drzewa do drugiego iść było potrzeba, iść, i choć zdawało się tuż blisko, nie mógł dojść, jakby uciekało od niego, a kamienie ogromne, mchem całe porośłe, śliskie, choć leżały nieruchome jakby z ziemi wyrastały. Pomiedzy nimi paproci stało różnej, małej, dużej, jak zasiał, ale kwiatu na żadnej. Z początku paproci było po kostki, potem do kolan, aż w pas, dalej po szyję i utonął w niej nareszcie, bo go przerosła... Szumiało w niej jak na morzu, a w szumie niby śmiech słycać było, niby jęki i płacze. Na którą nogą stąpił, syczała, którą ręką pochwycił, jakby z niej krew ciekła...

Zdawało mu się, że szedł rok cały, tak długą wydawała mu się ta droga... Kwiatu nigdzie... nie zawrócił się jednak i nie stracił serca a szedł dalej.

Naostatek... patrzy, świeci zdala ten sam kwiatek, pięć listków złotych dokoła, a w pośrodku oko obraca się jak młyn...

Jacusz podbiegł, rękę wyciągnął, znowu kury zapiały i znikło widzenie.

Ale już teraz nie padł, ani omdlał,

tylko siadł na kamieniu. Z początku na łyzy mu się zbierało, potem gniew w sercu poczuł i wzburzyło się w nim wszystko.

— Do trzech razy sztuka! — zawołał z gniewem... A że zmęczony się czuł, położył się między kamienie na mchu i zasnął.

Ledwie oczy zmrużył, gdy mu się marzyć zaczęło. Patrzy, stoi przed nim kwiatek o listkach pięciu, z oczkiem pośrodku i śmieje się...

— A co? masz już dosyć — mówi do niego — będziesz ty mnie prześladował?

— Com raz powiedział, to się musi stać — mruknął Jacuś — na tem nie koniec, będę cię miał!

Jeden listek kwiatka przedłużył się jak języczek, i Jacusiowi się wydawało jakby mu na przekorę się pokazał, potem znikło wszystko i spał snem twardym do rana. Gdy się obudził, znalazł się w znajomem miejscu na skraju lasu, niedaleko od wioski i sam nie wiedział już czy to co wczoraj było, snem miał zwać czy jawą. Powróciwszy do chaty, zmęczonym się tylko czuł tak,

że położyć się musiał i matuś mówiła mu, że wyglądał jak z krzyża zdjęty,

Przez cały rok, nic nie mówiąc nikomu myślał ciągle, jakby tego dokażać, żeby kwiatu dostać? — Nie mógł jednak nic wydumać, trzeba było spuścić się na szczęście swoje, na dolę lub niedolę.

Wieczorem znowu koszulę wdział białą, pasik czerwony, łapcie nienoszone, i choć go matka nie puszczała, jak tylko zciemniało, pobiegł do lasu.

Stała się znowu inna rzecz, las był taki jak zawsze za pospolitych dni, nic się już w nim nie zmieniło. Ścieżki i drzewa były znajome, żadnego cudowiska nie spotykał a paproci nigdzie ani na lekarstwo. Ale lżej mu było wiadomemi ścieżkami dostać się daleko w gąszcze, gdzie pamiętał dobrze, że paprocie rosły... Znalazł je na miejscu i nuż w nich grzebać, ale kwiatu nigdzie ani śladu.

Po jednych łaziły robaki, na drugich spały gąsienice, innych liście były poschłe. Już miał Jacuś z rozpaczy porzucić daremne szukanie, gdy — tuż

pod nogami zobaczył kwiatek. Pięć listków miał złotych a w środku, oko świecące. Wyciągnął rękę i pochwycił go. Zapiekło go jak ogniem, ale nie rzucił... trzymał mocno.

Kwiat w oczach rosnać mu poczynał, a taką jasność miał, że Jacuś musiał powieki przymknąć, bo go oślepiła. Wcisnął go zaraz za pazuchę, pod lewą ręką na serce... wtem głos się odezwał do niego:

— Wziąłeś mnie — szczęście to twoje, ale pamiętaj o tem, że kto mnie ma, ten wszystko może co chce, tylko z nikim i nigdy swoim szczęściem dzielić mu się nie wolno...

Jacusiowi tak się w głowie z wielkiej radości zaćmiło, że niewiele na ten głos zważał. — Al! co mi tam! — rzekł w duchu — byle mnie na świecie dobrze było...

Poczuł zaraz, że mu ów kwiat do ciała przylgnął, przyrósł i w serce zapuścił korzonki... Ucieszył się z tego bardzo, bo się nie obawiał, aby uciekł albo mu go odebrano.

Z czapeczką na bakier, podśpiwując, powracał do wsi. — Droga przed

nim świeciła jak pas srebrny, drzewa się ustępowały, krzaki odchylały, kwiaty które mijał, kłaniały mu się do ziemi. Z głową podniesioną stąpał i tylko roił, czego ma żądać. Zachciało mu się naprzód pałacu, wioski ogromnej, służby licznej i straszego państwa; no i ledwie o tem pomyślał, gdy znalazł się u skraju lasu, ale w okolicy zupełnie mu nieznaney...

Spojrzawszy sam na siebie, poznać się nie mógł. Ubrany był w suknie z najprzedniejszej sajety, buty miał na nogach ze złotemi podkówkami, pas sadzony, koszulę z najcieńszego śląskiego płótna.

Tuż stał powóz, koni białych sześć w chomątach pozłocistych, służba w galonach — kamerdyner rękę mu podał, kłaniając się, wsadził do karety i — wio!

Jacús nie wątpił, że do pałacu go wiozą; jakoż tak się stało. W mgnieniu oka powóz był u ganku, na którym służba liczna czekała...

Tylko ani znajomego nikogo, ani przyjaciela, twarze wszystkie nieznanę,

osobliwe, jakby poprzestraszane i pełne trwogi.

Miał za to na co patrzeć, wszedłszy do środka... Strach, co to był za przepych i jaki dostatek — tylko ptasiego mleka brakło.

— No! będąż teraz używał — mówił Jacuś i opatrzywszy kąty wszystkie, naprzód poszedł do łóżka, bo go sen brał, po tej nocy pracowitej. W puchu jak legł na białiznie cieniutkiej, przykrywszy się kołdrą jedwabną; i gdy usnął — sam nie wiedział ile godzin tam przeleżał. Obudził się, gdy mu się strasznie jeść zachciało.

Stół był zastawiony, gotowy i taki osobliwy, że co Jacuś pomyślał, to mu się na półmisku sunęło samo. I jak spał bardzo długo, tak teraz, począwszy jeść a popijać, nie przestał, aż dalej już nie było co wymyśleć i smak tracił do jada.

Szedł potem do ogrodu.

Cały on był sadzony takimi drzewami, na których kwiatów było pełno żazem i owoców; a coraz to nowe odkrywały się widoki. Z jednej strony ogród przypierał do morza, z drugiej

do lasu wspaniałego; środkiem płynęła rzeka. Jacuś chodził, usta otwierał, dziwił się, a najbardziej to mu się wydawało niezrozumiałem, że nigdzie swojej znajomej okolicy, ani tego lasu, z którego wyszedł, ani wioski — dopatrzyć się nie mógł. Nie zatęsknił jeszcze za nimi ale — ot tak jakoś chciało mu się wiedzieć, gdzie się one podziały.

Wokoło otaczał go świat zupełnie mu obcy, inny, piękny, wspaniały, ale nie swój. Jakoś mu zaczynało być markotno. Na zawołanie jednak, gdy się ludzie zbiegać zaczęli, a klaniać mu nisko, a co tylko zażądał spełniać i prawić mu takie słodycze, że po nich tylko się było oblizywać — Jacuś o wsi rodzinnej, o chacie i rodzicach zapomniiał.

Nazajutrz zaprowadzono go na żądanie do skarbcza, gdzie stosami leżało złoto, srebro, djamenty i takie różne malowane papiery szczególne, za które można było dostać, co dusza zapragnęła, choć były zrobione z prostych gałganków, jak każdy papier inny.

Pomyślał sobie Jacuś: — miły Bo-

że, gdybym to ja mógł garść jedną albo drugą postać ojcu i matysi, braciom i siostram, żeby sobie pola przykupili, albo chudoby — ale wiedział o tem, że jego szczęście takie było, iż mu się z nikim dzielić niem nie godziło, bo zarazby wszystko przepadło.

— Mój miły Boże! — rzekł sobie w duchu — co ja mam się o kogo troszczyć, albo koniecznie pomagać; czy to oni rozumu i rąk nie mają? Niechaj każdy sobie idzie i szuka kwiatu, a daje radę jak może, aby mnie dobrze było.

I tak żył sobie Jacuś dalej, wymyślając coraz to co nowego na zabawę.

Więc budował coraz nowe pałace, ogród przerabiał, konie siwe mieniał na kasztanowate, a kare na bułane, posprowadzał dziwów z końca świata, stroił się w złoto i drogie kamienie, do stołu mu przywozili przysmaki z za morza, aż w końcu sprzykrzyło mu się wszystko. Więc po pulpetach jadł surową rzepeę, a po jarząbkach, schab wieprzowy i kartofle, a i to się przejadło. bo głodu nigdy nie znał.

Najgorzej z tem było, że nie miał co robić, bo mu nie wypadalo ani siekiery wziąć, ani grabi i rydla. Nudzić się zaczynał wściekle, a na to innej rady nie znał, tylko ludzi męczyć, to mu robiło jaką taką rozrywkę a i ta w końcu się uprzykrzyła...

Upłynął tak rok i drugi — wszystko miał czego dusza zapagnęła, a szczęście to mu się wydawało czasem tak gupie że mu życie brzydło.

Najwięcej go teraz gnębiła tęsknica do wioski swojej, do chaty i rodziców, żeby ich choć zobaczyć, choć dowiedzieć się, co się z nimi tam dzieje... Matkę kochał bardzo, a jak ją wspominał, serce mu się ścisnęło.

Jednego dnia zebralo mu się na odwagę wielką — i siadłszy do powozu pomyślał, aby się znalazł we wsi przed chatą rodziców. Natychmiast konie ruszyły, leciały jak wiatr i nie opatrzył się, gdy zatrzymały się przed znanem mu dobrze podwórkiem. Jacusiowi lzy się z oczu puściły.

Wszystko to było takie, jak porzucił przed kilku latami, ale postarzałe, a po tych wspaniałościach, do których

nawykł, jeszcze mu się nędzniejszem wydawało.

Żłób stary przy studni, pieniek na którym dREWKA rąbał, wrotka od dziędzińca, dach porosły mchami, drabina przy nim... stały jak wczoraj. A ludzie?

Z chaty wychyliła się stara przygarbiona niewiasta, w zasmolonej koszuli, z obawą spoglądając na powóz, który się przed chatą zatrzymał.

Jacus wysiadł; pierwszy spotykający go w podwórku był stary Burek, jeszcze chudszy, niż był niegdyś, z sierścią najeżoną. Szczekał na niego zajądło, przysiadając na tyle i ani myślał poznać.

Jacus postąpił ku chacie; w progu jej wsparła o uszak drzwi stała matka, wlepiając w niego oczy, ale i ta nie zdawała się w nim swojego rodzonego domyślać.

Jacusiowi serce biło wzruszeniem wielkiem.

— Matuś — zawołał — ta toć ja, wasz Jacek!

Na głos ten drgnęła staruszka, oczy zaczerwienione od dymu i płaczu skie-

rowała ku niemu i stała oniemiała. Potrząsnęła potem głową.

— Jacuś! wolne żarty, jasnie panie! Tamtego już na świecie niema. Gdyby żył, toczy przecie przez lat tyle do biednych rodziców się zgłosił, a gdyby jak wy we wszystko opływał, z głodu nie dałby im umrzeć.

Pokiwała głową i uśmiechnęła się szydersko.

— Gdzietam! gdzietam! — rzekła. — Jacuś mój miał serce poczciwe i nie chciałby nawet szczęścia, z którymby się nie mógł podzielić ze swojemi.

Zasromił się mocno Jacuś, oczy spuścił... Kieszenie miał pełnusięńkie złota — ale co ręką sięgnął, ażeby garść jego rzucić w fartuch matce, to strach go brał wszystko razem utracić...

I stał tak, stał upokorzony, zawstydzony, a starucha na niego spoglądała...

Po za nią zbierało się rodzeństwo, pokazała się głowa ojca... Jacusiowi serce miękło, ale jak spojrział na swój powóz, konie, ludzi, a pomyślał o pałacu, znowu twardniało i czuł, że kwiat

paproci rzezał na niem, jak pancierz żelazny...

Odwrócił się od starej matki nie mówiąc słowa; nie patrząc i wolnym krokiem poszedł, słysząc tylko za sobą wściekle ujadającego Burka... Siadł do powozu i kazał jechać napowrót do raju.

Ale co się w nim i z nim działo, tego żaden język nie wypowie, żadne pióro nie opisze. Słowa starej matki, że niema szczęścia dla człowieka jeżeli się niem dzielić nie może, brzmiały mu w uszach jak przekleństwo.

Powróciwszy do pałacu, kazał kapeli grać, panom swoim tańcować, zastawić stoły — upił się nawet trochę, kilku ludzi kazał oćwiczyć ale to wszystko nie pomogło, pozostał bardzo markotny...

Przez cały rok, choć, jak zwykle we wszystko opływał, w gębie mu czegoś było gorzko, a w sercu jakby kamień dźwigał...

Nie mógł w końcu wytrzymać, po roku znowu pojechał do wsi swojej i chaty...

Spojrzał, wszystko jak było, żłób, pieńek, dach, drabina, wrota i Burek z szerścią najeżoną — ale stara matka nie wyszła. W progu pokazał się w koszulinie najmłodszy brat jego Maciek.

— A matuś gdzie? — zapytał przybyły.

— Chorzy leżą — rzekł malec wzdychając.

— A tatuś?

— Na mogiłkach...

Choć Burek mało go za pięty nie chwycił, wszedł Jacuś do chaty. Stara matka stękając, leżała w kątku na łóżeczku. Podeszedł do niej Jacuś... popatrzyła nań, nie poznała... Mówić jej było trudno, a on o nic pytać się nie śmiał.

Serce mu się krajało. Już sięgał do kieszeni, aby złotem sypnąć na ławę — ale dłoń mu się ścisnęła, strach go paskudny ogarnął, że własne szczęście utraci.

Niegodziwy Jacuś począł mędrkować:

— Starej już się nie wiele na świecie należy a jam młody. Ona się długo

męczyć nie będzie... a przedemną... życie, świat, panowanie.

I wyrwał się z chaty do powozu a z nim do pałacu: ale przybywszy tu, zamknął się i płakał.

Pod żelaznym pancerzem na piersiach, który włożył na nie kwiat paproci, związane i skrępowane budziło się sumienie... i gryzło mu wewnątrz serce.

Więc kazał kapeli grać, a dworni skakać i pić zaczął, aby je zagłuszyć.

Chwilami zdawało się, że go już nie słyhać, a potem — jak wrzasło, Jacuś o mało nie oszalał. Ale naza-jutrz i dni następnych ani na moment nie spoczywając, durzył się ciągle czemś, latał, jeździł, strzelał, słuchał wrzasków różnych, jadł, pił... hulał... Nic nie pomagało...

W uszach ponad wszystkie wrzaski brzmiało:

„Niema szczęścia dla człowieka, jeżeli się niem z drugimi podzielić nie może!”

Rok nie upłynął, aż Jacuś wysechł jak szczapa, wyółkł jak wosk — i w

tym swoim dostatku i szczęściu mężczył się nie do zniesienia. W końcu po jednej nocy bezsennej, nakładłszy złota w kieszenie, kazał się wieźć do chaty.

Miał to postanowienie, choćby wszystko stracił, a matkę i rodzeństwo poratować.

— Niech się już dzieje co chce! — mówił — niech ginę, dłużej z tym robakiem w piersi żyć nie mogę.

Stały konie przed chatą.

Wszystko tu było jak przedtem: żłób stary u studni, pieńek, dach, drabina — ale w progu chaty żywej duszy nie było...

Jacuś pobiegł do drzwi — stały kolkiem podparte; — zajrzał przez okno, chata była pusta...

Wtem żebrak, stojący u płota, wołać nań zaczął:

— A czego tam szukacie, jasny panie... Chata pusta, wszystko w niej wymarło z biedy, głodu i choroby...

Jakby skamieniały, stał ów szczęśliwiec u progu — stał i stał...

Z mojej winy zginęli oni—rzekł
w duchu — niechże i ja ginę!

Ledwie to rzekł, gdy ziemia się
otworzyła i zniknął — a z nim ów nie-
szczęsny kwiat paproci, którego dziś już
próżno szukać po świecie.



Chłopczykowi na dzień dobry

Mój Kazieńku! — To najlepsze
I po Bogu i po roli,
To co w życiu nas podeprze
Ludzką radą w dobrej woli.

„Wstawaj rano! sypiaj twardo!
Hartuj duszę — jadaj miernie,
Z bólem łam się z młodu hardo,
A dochowaj słowa wiernie.“

„Ucz się słuchać — abyś umiał
Rozkazywać gdy tak padnie,
Ucz się pracy — byś zrozumiał,
Co tam leży w życiu na dzień!”

Ucz się milczeć — byś treściwie
Umiał podnieść w niebo głosy;
Ucz się modlić — byś cierpliwie
Umiał wytrwać na złe losy.

Rano rozważ, co masz czynić,
Nim postawisz krok na progu,
A wieczorem licz się Bogu;
I już lepiej jest obwinić
W sercu siebie, niżli bliźnie,
Kiedy noga się pośliznie...
Nic nie pocznij bez rozwagi,
Boga wzywaj do pomocy;
To nie zbraknie ci odwagi
Ani we dnie ani w nocy.”

Poranek.

Mama dawno już wstała i krząta się koło gospodarstwa, ale w pokoju dziecinnym panuje jeszcze zmrok, bo okna przysłonięte. I chłopczyk spałby sobie nie wiem jak długo — lecz przez serduszko wycięte w okiennicy zakradł się promień słoneczny i trafił prosto w jego uszko. Więc nuż mu szeptać: Dzień dobry, dzień dobry! wstawaj leniuszku, już wszyscy na nogach: ptaszki oddawna fruują i świergoczą, rolnicy nakarmili bydło, pozaprzęgali konie i pociągnęli na rolę; pszczoły wyleciały z uli i zbierają miód z kwiatków a gołąbki uwijają się po dziedzińcu wołając: grochu! grochu! — Gdy chłopczyk jednak nie wstawał, promień kolnął go w same ślepięta tak, że się odrazu zerwał na równe nogi; umył się, ubrał prędko, zmówił modlitwę, pozdrowił rodziców i wyszedł przed dom. — Na łące i na polu wszystko świeciło się od rosy; kwiatki które

wczoraj były na wpół zwiędłe, odżyły na nowo; ludzie którzy z wieczora byli zmęczeni, pokrzepili się i idą wesoło do pracy, i zwierzęta są także raźniejsze niżeli były w południe.

Jedni tylko leniwcy i śpiochy pozostali w pościeli.

Rzecz, zwierzę.

Gdybym położył na ziemi obok siebie laskę, kamień, piłkę i stołeczek, toby póty na jednym miejscu leżały, pókiby ich kto nie przeniósł na inne miejsce; bo to są rzeczy, a rzeczy nie żyją i nie mogą się same poruszać. — Lecz gdybym położył obok siebie pieska, kanarka, żabę i robaka, coby się stało? — Piesek wnetby odbiegł, kanarekby odleciał, żaba by odskoczyła a robak odpełzłby z miejsca: bo piesek, kanarek, żaba i robak są zwierzęta a zwierzęta są żywe i mogą się poruszać, gdy zechcą. Dlatego Brysia trzymają na łańcuchu żeby nie biegał i nie kaleczył, konia w stajni, żeby w szkodę nie poszedł, a ptaszka zamykają do klatki, żeby nie uleciał.

Pastuszek.

Chłopiec pilnował krowy, pasącej się na trawniku, który się rozciągał na zrubie ogrodu. Gdy podniósł głowę i zwrócił oczy na wiśniowe drzewa, spostrzegł na jednym z nich kilka dojrziałych wisień. Te wiśnie obudziły w nim łakomstwo i tak go swoją czerwonością kusily, że postanowił je zerwać. Puścił więc bydlę samopas a sam wdrapał się na drzewo.

Krowa tymczasem, skoro ujrzała się samą, wlaźła do ogrodu i pożerała kwiaty i zioła, jakie się nawinęły; inne zdeptała nogami.

Zobaczywszy to chłopiec, obruszył się mocno; zeskoczył z drzewa na ziemię, złapał zwierzę i zbił je niemiłosiernie.

Ojciec który się przypatrywał temu zdaleka, przystąpił natenczas do chłopca spojrzal na niego surowo i rzekł: Komu się te plagi należą? tobie czy zwierzęciu,

które nie zna co dobre a co złe? Czy ty nie poszedłeś za swoją pożądliwością, taksamo jak to zwierzę, którego miałeś pilnować? A teraz tak niemiłosiernie je karcisz i zapominasz o swoim rozumie i o własnej winie!

I zawstydził się chłopiec i zarumienił się bardzo.

K o t.

Wlaził kotek na płotek i mruga...

Mruga i mruga chociaż go oczy nie bołą, porusza wąsami, nadyma grzbiet a mruczy. Zdawałoby się, że przewietrza swój kożuszek na słońcu, lub, że chce usnąć z nudów — a hultaj w najlepsze dybie na wróble albo co gorsza, na młode ptactwo domowe. Kiedy się czai na myszy do wytępienia których zdaje się być przeznaczonym, kot stoi zupełnie nieruchomy, głowę schyla ku ziemi, a gdy mysz się ukaże, rzuca się na nią wskok i chwyta za kark. Jeżeli przypadkiem chybi, zajmuje znowu swoje miejsce na czatach i czeka cierpliwie.

Patrząc na kotka, jak pieśczośliwie się tuli do człowieka, jak sobie wynajduje wygodne a ciepłe legowiska; sądząc po jego jedwabistym białem, szarem lub burem futerku, możnaby mniemać że to najłagodniejsze zwierzątko na świecie. Tymczasem rzecz się ma przeciwni. Kot napastowany, rychło wpada w złość, broni się swojemi ostrę-

mi pazurkami a nawet zębami kąsa. Poszczuty przez psa, okazuje wściekłą popędliwość, parska straszliwie, drapie i — ucieka, bo przy całej złości, wielki z niego tchórz. Drażnić kota jest nader niebezpiecznie.

Jego krewniacy koty: lwy, tygrysy, lamparty i hyjeny nierównie więcej okazują odwagi w razie potrzeby. Ze wymienione zwierzęta drapieżne należą do rodziny kotów, wskazuje budowa ich ciała: głowa okrągła, ciało wałkowate, pięć palców u nóg przednich i cztery u zadnich a wszystkie uzbrojone w pazury wysuwalne, łukowate, ścięśnione i nader ostre; chód mają cichy, ostrożny. Lecz te gatunki nie żyją w Europie, ale wyłącznie w gorących krajach Azji i Afryki, nie bawią się one też polowaniem na myszy, lecz porywają antylopy, woły, konie i rzucają się na ludzi.

Oprócz kota pospolitego, domowego, żyje w lasach kot dziki z którego domowy pochodzi. Kot dziki jest trochę większy od pospolitego, koloru szarobrunatnego z czarnymi pręgami w poprzek. Bywają też i czarne z którego wyprawiają futerka, zwane jonatami.

Koń i sakiewka.

Tadeusz Kościuszko, był nadzwyczaj dobroczynny. Nigdy nie minał ubogiego, żeby nie przystanąć i nie dać mu jałmużny; niektórym nawet stale odnosił zasiłek do domu, częstokroć ujmując od własnych potrzeb.

Pewnego dnia w którym, jak zwykle, miał zamiar odnieść wsparcie daleko mieszkającej rodzinie, dla ważnych interesów zmuszony był zostać w domu. Lecz wiedząc jak biedni ludzie wyglądają tej pomocy, Kościuszko uprosił sąsiada, żeby go wyręczył i odniósł przeznaczoną kwotę, a dla prędszego załatwienia się, dał mu swego wierzchowca.

Już było dosyć późno, kiedy sąsiad wrócił. „Panie jenerale”, rzekł wszedłszy do tegoż mieszkania, „na przyszłość, jeśli mi raczysz pozwolić swego konia, to mi daj i swoją sakiewkę, inaczej za nic w świecie nie chcę na nim jeździć.” Na zapytanie zdziwionego Kościuszki, coby to miało znaczyć? taką mu dano odpowiedź: „Ile razy spotkałem po drodze ubogiego, proszącego o jałmużnę, koń stawał i dotąd nie ruszył się z

miejsca, póki co nie dałem. Z początku było jako tako, bo miałem z sobą kilkanaście trojaków, lecz później byłem w wielkim kłopotcie. Nie miałem co dać; więc jakkolwiek przykro mi to było, musiałem zwodzić pocziwe zwierzę — i, spotkawszy ubogiego, udawałem, że mu coś daję lub rzucam w nadstawiony kapelusz“.

Widzimy stąd, jak wierny towarzysz bohatera przywykł do wszystkich czynności swego pana; dla siebie zaś możemy wyciągnąć tę naukę, że zawsze trzeba szukać towarzystwa ludzi cnotliwych i z nimi przestawać, a pełnienie dobrego stanie się dla nas konieczną potrzebą. „Z kim przestajesz, takim się stajesz“.

Mówić o żelaznym wilku.

— A o czemście rozprawiali?

— At, o żelaznym wilku.

I mógłby kto sądzić, że naprawdę jest żelazny wilk i że o nim mówią. Że wilków żelaznych na świecie niema, o

tem wie dobrze każde dziecko; bo wilki są takie zwierzęta jak inne, z ciała i kości, podobne do psa, które się nieraz zwierzętom domowym dają we znaki. Cóż to więc znaczy: mówić o żelaznym wilku?

— Widzicie, kochane dzieci, to jest przenośnia, co znaczy, że się co innego mówi a co innego każdy pod temi wyrazami rozumie. I tak gdy się „mówi o żelaznym wilku”, nie potrzebuje wcale być mowy o wilkach, ani o prawdziwych ani o żelaznych; lecz temi słowami chcemy dać do zrozumienia, że się mówiło o rzeczach błahych, nic nie znaczących, tak, byle mówić, albo też o przedmiocie niezrozumiałym dla rozmawiających.

Wam, czytelnicy, radzę nigdy nie mówić o żelaznym wilku, ale zawsze o czemś pożytecznem.

Brzydką i śmieszłą jest rzeczą, gdy kto o niczem innem nie potrafi mówić, jak o pogodzie lub strojach, albo co gorsza, że umie tylko obgadywać sąsiadów i znajomych a często nawet przyjaciół — co jest wielką wadą. Pochodzi to stąd, że umie tylko mówić o żelaz-

nym wilku, to jest, że taki człowiek niema zazwyczaj dostatecznego wykształcenia, iżby mógł kogo zająć pożyteczną rozmową, naprzykład o naukach, odkryciach, wynalazkach, o sztukach pięknych, o przeczytanych książkach i t. p. rzeczach.

Dobroczynna dziewczynka.

Podczas ciężkiej i ostrej zimy mała Zosia, jedyna córka dobroczynnych rodziców, zbierała i chowała troskliwie okruchy i resztki pozostałe od jedzenia. I codzień wychodziła dwa razy na podwórze i rzucała okruszynki, a ptaszki zlatywały się i zbierały je. A dziewczynce aż ręce sztywniały od srogiego mrozu.

Raz zeszli ją rodzice przy tem zatrudnieniu, a naradowawszy się tym pięknym widokiem, zapytali:

— Na co ty to robisz, Zosiu?

— Wszystko — odpowiedziało na to dziewczątko — pokryte jest śniegiem i lodem, że ptaszyny na pożywienie nic

znaleźć nie mogą i są bardzo biedne. Dlatego je żywią jak mogą, tak jak bogaci ludzie wspierają i żywią biednych.

Na to odrzekł ojciec:

— Ale ty ich przecież wszystkich opatrzeć nie możesz.

Mała Zosia taką dała odpowiedź:

— Czy wszystkie dzieci nie robią tak samo jak ja, równie jak wszyscy bogaci ludzie opatrują ubogich?

Kura.

Pstra kokoszka pstra, pstry ogonek ma...

Ale nie zawsze. Bywają czasem kurki zupełnie białe z ogonkiem czarnym; są też kuse co wcale ogona nie mają, ale wogóle kury ubierają się pstro. Kura ma policzki naokoło oczu, gołe, nogi silne, palców cztery z których jeden krótszy, umieszczony od tyłu nogi; ciało ma grube, skrzydła krótkie zaokrąglone, lot ciężki. Kura ma dziób mierny w końcu hakowato na dół zaagięty, na czole grzebień mięsisty — a

czubajki zamiast tego, czubek z piór; pod brodą ma dwa czerwone wyrostki — niby końce zawiązanej krawatki; język krótki przy końcu ząbkowany, ogon ściśniony, do góry zadarty. Takie bywają potulne kokoszki; pan kogut za to wielki elegant. Pióra ma daleko więcej barwiste, na pięcie kolec udający ostrogę; przechadza się on dumnie niby jaki rycerz, a za każdym krokiem to mu się kołpak czerwony na głowie zachwieje, to różnobarwne sterówki (pióra) w ognie, zamigocą na słońcu. Zawadjaka też z niego wielki; do wybitki zawsze gotów, i ledwo się dwa koguty zejda, wnet stają do walki: pióra im się jeżą, grzebień czerwieni, szyję wyciągają ku sobie poziomo i dalej łupu cupu, cupu łupu. Ta ich pohopność do bójek, spowodowała zimnych anglików do urządzania walk kogucich.

Kogut pieje zwykle w nocy dwa razy, to jest około północy i nad ranem, ale czasem i o innej porze, i wtedy ma to oznajmiać zmianę w pogodzie. Kura nie pieje, tylko gdacze, mianowicie: gdy zniesie jajko, ale też wtenczas czyni to z takim zapalem, jak gdyby pragnęła,

żeby cały świat wiedział, jakiej korzyści przysporzyła gospodyni. Trzeba przyznać że jaja są smacznym, posilnym i zdrowym pokarmem a przy dobrem utrzymaniu, kura może ich do roku znieść około 150 sztuk — ma więc czem się chwalić. Z jaj kura wysiaduje kurczęta w ciągu 21 dni Są także piece urządzone do wylęgania jaj.

Polskie kury są mniejsze niż tak zwane kalkuckie czyli kochinchińskie, ale za to kształtniejsze i bardziej nieśne.

Do rodzaju kur należy perlica, o pierzu ciemnoszarem z perłowemi plamami, z różkiem kościanym na głowie, zagiętym ku tyłowi. Krzyk tego ptaka jest przeraźliwy. Dalej ma kura w swojej rodzinie wielkich panów, jak szlachetnego bażanta, pysznego pawia, którego piór ogonowych krakowiacy używają do ozdobienia swoich rogatywek i nareszcie szołdra indyka z pękiem koralu na szyi.

Kruk, fundator ołtarza.

Przed dawnym, bardzo dawnym czasem, bo jeszcze przed rokiem 1621, żył kruk przy klasztorze księży Cystersów w Mogile, blisko Krakowa. Umiał on wymawiać niektóre wyrazy i płał rozmaite figle, a że często odwiedzał Kraków i był bardzo oswojony, przeto paupry tamtejsze miały z nim swoją uciechę. Lecz o ile dzieci cieszyły się, gdy się kruk zjawiał w Krakowie, o tyle gospodynie i sługi trwożyły się jego przybyciem, gdyż pan kruk, choć z klasztoru, wcale nie wyrzekł się swojej natury i gdzie mógł, ściągał świecące rzeczy i zanosił do jakiejś kryjówki. Za każdą bytnością w Krakowie kruka z Mogiły, zawsze coś ginęło, ale ani sposobu nie było wysledzić, gdzie kradzione rzeczy podziewa.

Przyszedł czas że i kruk zginął nareszcie. Wiele lat upłynęło potem; z uszkodowanych niejeden legł już w grobie i nie myślano nawet o kruk. Aż niespodzianie znajdują raz jednego na wieży cały skarb przeróżnych kosztowności. Oczywiście było rzeczą, że to za

sprawą kruka te przedmioty tam się dostały, lecz gdzie tu szukać właścicieli? — Radzą księża co robić, ale nie mogą się w zdaniu zgodzić; przeor oddał więc całą sprawę pod sąd duchowny. A ten, gdy nikt się nie upomniał o nic, przysądził cały skarb na własność klasztorowi.

I dotąd jest w kościele Mogilskim ołtarz poświęcony czci św. Stanisława, a ów kruk złodziej, gładko wyrobiony, jako fundator, znajduje się u wierzchu ołtarza.

Gdy przyjdiesz między wrony, to krakaj jak i ony.

To znaczy, że trzeba się stosować do ludzi, między którymi się znajdujemy. Lecz czyż zawsze trzeba krakać z wronami? — Bynajmniej! Przedewszystkiem wystrzegaj się towarzystwa wron, to jest głupców, krzykaczy, których całą zasługą, że wiele gadają, rozwodzą się i nic nie robią.

Gdybyś jednak, mimo woli swojej, dostał się do towarzystwa podobnych wron, to pamiętaj, że jesteś w drażliwym położeniu, i staraj się wyjść z niego cało i z honorem — niezasłużwszy na imię wrony. Jeżeli liczba krzykaczy nie jest zbyt wielka a krakanie szkodliwe, i masz nadzieję, że rozumne twoje słowo znajdzie przyjęcie, to użyj swego głosu aby ich przekonać i odwieść od złego; gdzie zaś tego skutku spodziewać się nie możesz, to nic nie mów, ale też i nie krakaj. Gdybyś zaszedł między wrony, co wprawdzie kraczą, ale że przez to nikomu nic złego się nie stanie i wymaganoby twego głosu, to dla świętej zgody możesz i ty zakrakać. Całkowicie można się tylko wtedy stosować do nadpisanego przysłowia, gdy chodzi o uczynek dobry; w tym też razie krakaj ile ci sił stanie a wypełnisz radę mędrca, który mówi: Będziesz płakał z płaczącymi, a śmiać się będziesz z wesołymi.

Przepiórka.

Trzebaby się pani matki spytać
Czyby wolno przepióreczkę schwytać

Tak! Przedewszystkiem trzeba się mateczki zapytać. Ale jestem pewny, że mama nie pozwoli gonić za przepiórką. Bo proszę mi powiedzieć co ona komu szkodzi? Przepiórka gości u nas przez lato, ściele sobie gniazdko w brzdach między zbożem; żywi się owadami i robaczkami, a jeżeli trochę ziarna zje, to dla rolnika nie wielka strata. Lecz za to, gdy w Lipcu żytko dojrzeje a pogoda służy, przepiórka z całych sił woła na kmieci: „Pójdźcie żąć! pójdźcie żąć, co żywiej; bo jeśli w pogodę nie puści się kosa, to potem się słońce sprzeciwi”. Na zimę odlatuje ona w cieplejsze kraje, za morze Śródziemne, oddzielające Europę od Afryki.

Przepiórka należy do ptaków grzebiących; znosi 10 do 14 jaj z szaro lub brunatno żółtawem tłem, brunatno nakrapianem, błyszczących, jakby pokostem powleczonych, z których wysiaduje pisklęta podobne do młodych kuroptwa.

Później jednak coraz bardziej odróżnia ją się od tych ostatnich. Przepiórka bowiem jest mniejsza niż kuropatwa; dziób ma słaby, nogi cieliste bez ostróg, ogon krótki; pióra z wierzchu żółtoszare z rdzawymi i brunatnymi plamami i z żółtawą kresą wzdłuż, na brzuchu zaś białawe.

Najbliżej przepiórka spokrewnioną jest z kuropatwą, lecz głównymi ozdobami jej rodu są: głuszec ze swoją krzykliwą małżonką i cietrzew, który, nie wiem dlaczego, ma imię wielkiego raptusa.

Pieśń przepiórki.

„Pójdźcie żąć! pójdźcie żąć“,
Na polu dojrzały już kłosa;
Pilnym bądź, pilnym bądź
Ochoczo do sierpa, do kosy,
Ochoczo do każdej roboty,
Nie zważaj na znoje, na poły.

„Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć“
Choć w poiu dokucza ci spieka,

Pilnym bądź, pilnym bądź,
Bo czas twój na skrzydłach ucieka:
Trud każdy w pomyślność bogaci
I ciebie i twoich współbraci.

„Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć”,
Na łan się nie spóźniaj i chwilką;
Pilnym bądź, pilnym bądź,
Bo ziarno dojrzewa raz tylko,
A kto go nie zbiera w swej porze,
Swoją zagon daremnie ten orze.

Dzieci i kwiaty.

Widzisz tam na łące, ubranej jak
perski kobierzec w różnobarwne kwiatki,
które wiosna, deszcz i ziemia utkały
a słońce pomalowało. Tam pod lasem
jest ich troje: dwóch chłopców
i dziewczyna. Jeden z chłopców jedzie
na kijowym koniku, szablę ma drewnianą
u boku, stosowany kapelusz z papieru
na głowie, słomiane szlify i drewniane
ostrogi. Dziewczyna ma lalkę w rękę,
którą ubrała w kwiatki, w wieńce,
dwa razy większe od niej...

Drugi chłopczyk patrzy w niebo, i kwiatek trzyma w ręku.

— Co ty myślisz o tym kwiateczku? — zawołała dziewczynka — oddaj go lepiej mojej Magdusi, bo jej sprawiam wesele.

— O, nie — odpowiedział chłopczyk, wpatrując się ciągle w kielich pełnego dzwonka — nie, szkoda tego kwiatka! Właśnie myślałem, zerwawszy go, iż on nie na to rósł i kwitnął, żeby wiadł w naszych rękach; patrz, moja Maryniu, jak go Bóg w piękne ustroił sukienki... w piękne sukienki szafirowe, jak skrzydła motyla. Ta sukienka szafirowa, którą tobie twoja matka sprawiła, daleko mniej piękna! Słuchaj, mnie się zdaje, że kwiatek musi żyć, musi kochać swoje siostrzyczki i braciszki-kwiatki, a my zrywając zabijamy go.

— Kwiatki nie żyją — odpowiedziała dziewczynka -- one są jak moja lalka, Gustawie.

— Przepraszam! — rzekł chłopiec — twoją lalkę zrobili ludzie, a on sam urósł z ziemi, rozkwitł pod słońcem, pił rosę, ssał ziemię i kochał braciszki-kwiatki.

Na te słowa nadbiegł drugi chłopczyk, machając drewnianą szabelką i ścinając po drodze głowy kwiatkom, które spotykał.

— Wstydz się, Franku — rzekł Gustaw — tyle kwiatków zabijać; gdybyś przynajmniej zrobił z nich wianek jak Marynia.

— A na co mi na drodze rosną — odpowiedział drugi chłopiec.

— A któż ci kazał tędy biegać?

— Któż mi zabroni — rzekł dumnie Franek — to moja łąka i moje kwiatki.

— Łąka i kwiatki Boże, nie twoje!

Chłopiec nie słuchał tego, i pobiegł dalej. Gustaw został sam z głową schyloną nad kwiatkiem... Spojrzawszy na jego sukienkę, zaczął jak przez mgłę się domyślać, że ktoś ją stworzył i uszyć musiał, że ktoś te kwiatki rozsypał, kazał im rosnąć, kwitnąć, więdnąć — i podniósł Gustaw oczy do nieba...

Len.

Jak to rozkosznie kłaść czystą, białą jak śnieg, płócienną koszulę. Mateczka kochana już z wieczora przysposobiła ją na stoliku, żeby pieszczołek, gdy się obudzi, znalazł wszystko w pogotowiu. Uprana też ślicznie, wygładzona, z kołnierzykiem nakrochmalonym—warto jej się przyjrzeć bliżej. Płótno w koszuli złożone z mnóstwa nitek — to robota tkacka. Lecz nim nici doszły rąk tkacza, wiele było zachodu.

Chodźmy na pole. Na nisko położonym gruncie ciągną się wąskie grzędki, gęsto zarosłe ziele. Łodyżka jego wysmukła, do dwóch stóp wysoka, okrągła z kilkoma liśćmi wąskimi, kończącymi, w kształcie lancetu; na wierzchołku ma kwiat błękitny z pięciu listków, w kielichu pięć pręcików również błękitnych — wygląda to jak smagłe dziewczątko z wianuszkiem bławatków na głowie. Pod kielichem znajduje się torebka kulista, gdzie w oddzielnych pokoiłkach spoczywają siostrzyczki-nasionka koloru cisawego, mocno lśniące.

Teraz wystawmy sobie wieś, szczególnie litewską, w miesiącu Październiku. Prawie przed każdą chatą słychać niemiłosierne klekotanie — to znaczy że gosposie międlą len, czyli obijają go z łuski zwanej paździerzą. Ale żeby paździerz oddzielała się od włókna, trzeba len przez kilka tygodni rościć lub moczyć a następnie dobrze wysuszyć. Włókno lniane oczyszcza się kilkakrotnem czesaniem, potem się przędzie a z przędzy dopiero robią albo płótno, albo kręcą z niej nici do szycia. Wyczeszki czyli pakuły używają na przędzę do grubego płótna. Z nasienia, zwanego lnianem siemieniem, wytłaczają w olejarniach olej.

U nas najwięcej lnu uprawiają na Żmudzi, gdzie stanowi przedmiot znacznego handlu. Tak włókno jak i siemię wywożą z tamtych okolic rzeką Niemnem i koleją żelazną do Królewca w Prusach. Najznakomitsza fabryka wyrobów lnianych w kraju, znajduje się w Żyrardowie blisko Warszawy.

Kwiatek.

Na świecie wiosna; wychodzę na pole
Aby się młodej przypatrzeć przyrodzie.
Rzucam gwar miasta, puszczam się na

wolę

W lesie pobujać, przejrzeć się we wodzie,
Idę ścieżyną wzdłuż dolin i wzgórzy,
Rażno oddycham, wzrok buja nad glebą;
Wtem zwrócę oczy—z traw kępy wynurzy
Kwiatek swą główkę, błękitną jak niebo,
Jak oczko piękną, świecącą jak gwiazdka.
Chciałem go zerwać... nieboże do mnie,
Główkę schyliwszy, ozwało się skromnie:

„Mam być wyrwany ze swego gniazdka

„Żeby w twem ręku zagać bez śladu?“

— Zręcznie podważył kwiatek z ko-
rzonkami,

Do cienistego zaniósłem go sadu

I zasadziłem własnymi rękami...

A odtąd w ciszy krzewi się i rośnie

I kwieciami w każdej okrywa się wiosnie.

Drzewko.

Pewien ojciec wybierał się za morze,
do dalekiego kraju. Ale nim odjechał,

zawołał wszystkie swoje dzieci, a przyniósłszy w rękę młode drzewko, zasadził je wspólnie z niemi. I mówił do nich ojciec: Gdy na to drzewko spojrzycie, to niech ono wam przypomni waszego ojca w oddaleniu. Nim ono trzy razy zakwitnie, da Bóg, to znowu z wami będę.

Tak mówił i odjechał, a drzewko okryło się pięknem kwieciami w pierwszym roku.

Lecz gdy ojciec był na morzu, zerwała się gwałtowna burza, i okręt na którym jechał, rozbił się o skały a ojca pochłonęły bałwany.

Dzieci płakały i smuciły się przez wiele miesięcy a najbardziej gdy drzewko pączki dostawało i kwitło, otaczały je i płakały.

Natenczas przyszedł do dzieci rozsądny człowiek, przyjaciel zmarłego ojca i rzekł: Uważcie, drzewko straciło swoje właściwe znaczenie i stało się dla was przyczyną boleści; dla tego pozwólcie, że przesadzę je gdzie indziej, żeby ten widok was więcej nie zasmucał.

Lecz dzieci odezwały się jednogłośnie i rzekły: O nie! zostaw nam to drzewko. Chociaż nie radość na niem kwitnie,

̄ lzy i boleść, toć są to lzy miłości
i boleść dziecięcej tęsknoty... Ach nie,
nie zabieraj nam drzewka!

**Czegoś nie zasiał, tego nie
zbierzesz.**

Co zasiałeś, to zbierzesz.

Właśnie skończono dziś żniwa. Ostatni wóz naładowany wysoko snopami, toczy się skrzypiąc po ściernisku, a za nim postępują żeńcy z kosami i sierpami na ramieniu, w których promienie zachodzącego słońca migotliwie odbijają. Żniwiarze, jakkolwiek całodzienną pracą na skwarze strudzeni, nućą sobie rozmaite pieśni. — Otóż przybyli w zagrodę; gospodyni, której ofiarują wieniec wita ich radośnie i zaprasza do zastawionego posiłku. Dziś dożynki, późno w noc przeciągnie się ochota.

Lecz nie byłoby żniwa, gdyby siejby nie było; aby zbierać, trzeba wpierv zasiać... Stąd nauczka jasna jak dzień, że kto chce kiedyś, czemś zostać, po-

winień za młodu pracować, bo „bez pracy, nie będzie kołaczy”. A zatem chłopaczki, panienki, ochoczo do książeczek! Pokażcie kochanym rodzicom dowodnie, iż się znacie na rzeczy i że rozumiecie co znaczy: „Czegoś nie zasiał, tego nie zbierzesz, albo: „Czegoś nie zebrał za młodu, tego na starość nie znajdziesz.”

Sól kuchenna

Kamień na kamieniu,
Na kamieniu kamień...

Takbyśmy zawołali, gdybyśmy mogli kulę ziemską jak jabłko, pokrajać, na dwie połówki i zajrzeć w jej głębiny.— Kamień na kamieniu, skała na skale piętrzy się w jej skorupie grubej na siedm do ośmiu mil. Tam w ogromnych masach zalegają: granit, łupek i wapień; porfiry i marmur; węgiel i kreda, a przez te masy ciągną się gdzieniegdzie żyły dostarczające żelaza, ołowiu, cyny i cynku; miedzi, srebra i złota. Lecz po-

żyteczniejszą nad złoto i srebro jest znajdująca się w ziemi sól, gdyż ona służy na niezbędną przyprawę do naszych pokarmów i jest pomocną zdrowiu.

Pokłady soli napotykamy we wszystkich okolicach ziemi a prawie zawsze w sąsiedztwie z gipsem i gliną. Każda bryłka soli składa się z kryształków sześciściennych; — żeby się przekonać o tem, można wziąć trochę soli, rozpuścić w wodzie, wylać na płaski talerz i nie ruszać go, póki woda całkiem nie wyparuje. — Zupełnie czysta sól jest bezbarwna, przezroczysta, ale taką otrzymuje się tylko ze źródeł słonych za pomocą wyparowania wody; kopalna sól bywa zwykle szarawa, sinawa, lub czerwona, co od obcych przymieszek zależy. Jest także sól trzaskająca, która wrzucona w wodę, pęka z trzaskiem i wytwarza gaz. Sól łatwo rozpuszcza się w wodzie i chciwie ją wciąga, dlatego w powietrzu wilgotnem powoli topnieje. Gospodynie, wiedząc o tym przymiocie soli, stawiają ją pomiędzy podwójnymi oknami, żeby podczas zimy wciągała w siebie wilgoć.

Zróżdła wydające sól znajdują się w

Kraju naszym w okolicach Ciechocinka, Buska i Druskienik nad Niemnem, a w Galicji jest ich mnóstwo. Lecz najgłówniejszemi dostarczycielkami soli dla nas, są kopalnie w Wieliczce i Bochni, w bliskości Krakowa. Te kopalnie są najobszerniejsze w Europie, a chociaż istnieją już od 600 lat, bo od czasów królowej Kingi czyli Kunegundy, jednak mają być niewyczerpane. Kopalnie w Wieliczce są głębokie na przeszło 1000 stóp i tworzą trzy piętra. Znajduje się tam wykuty w skale salon, gdzie niekiedy odbywają się zabawy z tańcami i muzyką. Do wnętrza kopalni, tak goście jak i górnicy, dostają się przez otwór zwany szybem, za pomocą urządzonej w tym celu windy. Górnik opatrzony w swoje naczynia, to jest w kaganek przymocowany do czapki; w młot, kilof i żelazka, z brzaskiem dnia spuszcza się w szyb i nie powraca aż przed zachodem słońca. To też z szczególnością, rzewną wdzięcznością ku Bogu, pracowity górnik wita i żegna światło dzienne, którego tak mało używa. Zdarzają się też niekiedy nieszczęśliwe wypadki, że górnik zaginie w jakim odle-

głym chodniku, czy to przywalony głazem lub gazami zaduszony. Szybów, któremi górnicy się spuszcza, w Wieliczce jest obecnie sześć, a siódmy służy do wyprowadzenia wody z kopalni. — Wypada tu jeszcze wspomnieć o wykwiłaniu soli z ziemi, która tąż solą jest przejęta. Bywa, że rozległe obszary pokryją się warstewką soli, jakby szronem podczas zimy. To zjawisko zdarza się w środkowej Azji w górach Atlas w Afryce i w południowej Ameryce.

Dałoby się jeszcze powiedzieć o soli to i owo, ale obawiam się, żebym moich młodych czytelników zabardzo nie znudził, dlatego zostawiam resztę na czas późniejszy.

Siedmdziesięcioletnia narzeczona.

W wiosce górniczej Skierd, położonej w bliskości Danemara, sławnej kopalni żelaznej w Szwecji, pewnej niedzieli było bardzo wesoło. Chłopcy

i dziewczęta, ubrani odświętnie, to gromadkami, to pojedynczo, kręcili się po ulicy. Między dziewczętami odznaczała się jedna tak urodą jak i strojem weselnym: była nią Małgorzata, która tego dnia miała być zaślubioną z młodym górnikiem, imieniem Piotr Fields. Rzeźki to był młodzian, ubrany w półpłaszczyk z granatowego sukna, obszyty czerwoną wypustką, w takąż czapkę, ozdobioną godłem górniczym, przedstawiającem dwa młotki na krzyż położone; buty miał wysokie z węgierska, dobrze wyczyszczone, a na szyji chustkę z karmazynowej włóczki, ręcznej roboty.

Za dwie godziny miał się odbyć ślub. Wtem przypomina sobie Piotr, że w chodniku, w którym poprzedniego dnia pracował, zapomniał woreczek z obrączką ślubną. Nie było co wiele się namyślać; poszedł do Danemary, zapalił swój kaganek, i za pomocą towarzyszy spuścił się w szyb. Ale minęła godzina, dwie, i noc zapadła a Piotr nie wracał. Można sobie wystawić smutek weselnych gości i trwogę panny młodej. Zaraz w nocy i nazajutrz przedsięwzięto

wszelkie możliwe środki dla odszukania zaginionego, ale napróżno.

Tak minęły dni, miesiące i lata. Wtedy sąsiedzi zaczęli namawiać Małgorzatę, żeby wyszła za męża, za kogo innego, lecz ona o tem słuchać nie chciała, zapewniając że jej Piotr powróci. I codzień przed wieczorem, kiedy górnicy wracali z kopalń, przypinała sobie welon ślubny, wychodziła naprzeciwko nich i przeglądała ich szeregi, azali nie znajdzie swego oblubieńca. Potem wracała do swoich zatrudnień, cicha, pobożna i cierpliwa. Nikt w wiosce nie nasmiewał się z jej dziwactwa, owszem, wszyscy szanowali jej przywiązanie i wierność.

Wiele, wiele lat ubiegło od owej nieszczęsnej niedzieli. Goście weselni częścią postarzelali, częścią na pobliskim cmentarzu odpoczywali po trudach, a Małgorzata ciągle czekała swego narzeczonego. Właśnie kończyła siedmiesiąty rok życia, gdy odkryto nowy szyb i wybierano w rudniku nowe chodniki. Razu pewnego jeden z górników dotarł do granicy starej kopalni, tu wyłamawszy kawał skały, zobaczył przy blasku

kagańca, dobrze zachowanego trupa. Zabrał go z sobą a po pracy, wspólnie z towarzyszami wydobył na powierzchnię ziemi. Nikt nie poznawał nieboszczyka, ale naraz, podług swego zwyczaju, zjawia się między górnikami Małgorzata, ustrojona w welon ślubny, szukając swego narzeczonego—i o dziwo!.. Podchodzi do trupa, ogląda go w milczeniu, potem wyciąga koniec karmazynowej chustki, którą szyja nieboszczyka była przewiązana i przypatruje się uważnie. Nareszcie pada na kolana i głośno dziękuje Bogu, że jej dozwolił oglądać narzeczonego. Był nim rzeczywiście. Chustka włóczkowa była podarunkiem Małgorzaty, o czym świadczyła wyhaftowana na niej cyfra. — Staruszka kazała przenieść nieboszczyka do swojej izby, a nazajutrz znaleziono ją żywą przy narzeczonem.

Na miejscu i kamień porośnie.

Kamień sam przez się nie rośnie, ale gdy leży nieporuszony na jednym

miejscu przez długi czas, to pokrywa się mchem; na tym druga warstwa się osadza i tak dalej. Ale co kamień to kamień, a co człowiek to człowiek. Człowiek ma rozum, ma wolę, więc nie może gnuśnie na miejscu czekać szczęścia, bo „pieczone gołąbki nie przyjdą do gąbki” — owszem powinien się starać wszelkimi siłami aby rość w cnotę w dobrą sławę i w majątek. Ale jego usiłowania powinny zawsze dążyć ku jednemu celowi. Kto cierpliwie umie wytrwać w obranym przez siebie zawodzie, na pewno dosięgnie w nim wysokiego stopnia doskonałości; kto pracuje stale na jednym miejscu i nie szuka coraz innego zajęcia, ten dorobi się swobodnego bytu i porośnie w pierze. Przeciwnie, komu każde powołanie zdaje się być mozolnem, kto coraz nowego chwytą się zawodu, ten w żadnym się nie wydoskonali, a co za tem idzie — niczego się nie dorobi. — O ludziach pilnych i pracowitych, miłujących domowe ognisko, mówi się, że „siedzą w domu kamieniem.”

Trzy działy przyrody.

Pogoda prześliczna. Siedzimy sobie na ławce pod rozłożystą lipą, rosnącą przed domem. Opodal jest ogródek okolony płotem, tam rosną kwiaty. Na skraju dziedzińca znajduje się stajnia i studnia a w dali na ugorze, widać pasące się baranki. Tuż przy studni leży spory kamień, na którym dziewczęta stawiają wiadro, kiedy przychodzą po wodę — a nad tem wszystkim unosi się skowronek i zawodzi swoje trele.

— Ale skądże się to wszystko wzięło?

Co tylko widzimy naokoło siebie, powstało poczęści z przyrody czyli natury, a poczęści przez ludzi. I tak drzewo, kwiat, źródło wydała przyroda; zaś dom, ławka, płot są dziełami ręki ludzkiej. Rzeczy które przyroda wydaje, zowią się płodami przyrody czyli ciałami przyrodzonymi; te rzeczy które sztuką ludzką wydaje, nazywają się płodami przemysłu. Człowiek bierze materiał do swoich wyrobów od przyrody, naprzykład drzewo, kamienie, kruszce; on używa jej płodów do skutecznienia swoich

pomysłów. Człowiek nie może nic nowego stworzyć, umie tylko odmieniać formę i postać utworów Bożych: z drzewa robi stół, z kamieni buduje dom, z żelaza wykówa lemiesz.

* * *

*

Płody przyrodzone np. kamień, jabłoń, ptak, znacznie się od siebie różnią. Kamień nie bierze w siebie pokarmu, nie wypuszcza z siebie nazewnątrz żadnych części, ani liści, ani kwiatu, ani owoców: on nie rośnie, nie czuje — słowem, jest martwy.

Przeciwnie zaś drzewo bierze w siebie pokarm; ono rośnie, wydaje z siebie gałęzie, liście, kwiat i owoce: z ziarnek i pestek jego owocu powstają nowe drzewa, tego co i ono rodzaju. Lecz drzewo nie może się samo z własnej woli poruszyć ani dostać z jednego miejsca na drugie; ono nie czuje. Ptak nareszcie także bierze w siebie pokarm; w jego wnętrzu panuje ruch; on może całe swoje ciało poruszyć o własnych siłach i przenieść się z jednego miejsca na drugie, z jaj które niesie, powstają

Młode ptaszki (pisklęta). Ptak czuje, on może rozróżniać rzeczy będące wokoło niego, jednym słowem, ptak żyje. Wszystkie ciała przyrodzone są zatem albo martwe, albo żywe, a te ostatnie mają czucie albo go nie mają, mają ruch dowolny albo nie mają takowego.

*

*

*

Płody natury, które rozrastają się na zewnątrz, i mają pewne narzędzia do przyjmowania pokarmu i do rozrastania się, zowią się organiczne, t. j. opatrzone narzędziami. Te które takowych narzędzi nie mają, lecz powiększają się cząstkami, osiadającymi na ich powierzchni, nazywają się bezorganiczne. Ciała nieorganiczne odznaczają się jeszcze tem, że jedna cząstka ma kształt całości, gdy tymczasem z cząstki ciała organicznego, np. z liścia, o całym drzewie wyobrażenia mieć nie można.

Płody organiczne przyrody, które żyją, czują i mogą się poruszać, zowią się zwierzętami; te zaś które żyją wprawdzie, ale czuć i poruszać się nie mo-

gą — roślinami; bezorganiczne płody nazwane są minerałami albo rzeczami kopalnemi. A zatem pies, wróbel, komar są zwierzęta; dąb, len, lilja są rośliny, a krzemień, piaskowiec i żelazo są minerałami.

Wesołość prawdziwa.

Młody człowiek, imieniem Zygmunt posiadał znaczne dobra, mieszkał wytwornie, żył wykwiśnięcie a pomimo to był najczęściej ponury, smutny i nudny. Pewnego dnia w miesiącu Czerwcu, jadąc konno do sąsiada, był jak zazwyczaj w kwaśnym humorze; nic go nie zajmowało, nie cieszyło. Wtem usłyszał za sobą ochoczy śpiew, swego siostrzeńca Karola, którego rodzice w mierzalnym byli stanie. Ten poznał go nawzajem. Po przywitaniu się, Zygmunt przemówił: Jak widzę w doskonałym jesteś usposobieniu, musiało ci się co dobrego przytrafić? — Mój wujaszku, odrzekł Karol, nic mi się tak szczególnego nie przytrafiło. Odrobiwszy lekcje,

wyszedłem trochę za miasto na przechadzkę i tak mi się jakoś rzeźwo zrobiło, że mimowolnie zanuciłem sobie piosenkę. — I jakież może być powód tej wesołości? zarzucił Zygmunt.

Na to odpowiedział chłopiec: Czyż miałbyś nie widzieć tych pięknych rzeczy na Bożym świecie! Gdzie tylko oczy zwrócę, napotykam wszędzie przedmioty rozweselające serce i wznoszące umysł do Boga. Nademną modre niebo z jaśniejącem słońcem; tu się trawka rozściela zielona, tam łąka kwiecista, owdzie las szumi, poruszany łagodnym wietrzykiem a wszędzie pełno życia; śpiewu ptasząt, brzęku owadów i woni przyjemnej. O jakże się nie cieszyć i nie dziękować za tyle piękności Bogu, który to wszystko stworzył. — Tak mówił z zapalem Karol, a słuchającemu młodzieńcowi wypogodziło się oblicze i zdało się, jakoby mu łuski spadły z oczu. Odtąd i on inaczej patrzył na otaczającą go przyrodę, i już nie potrzebował ani wina ani zakłopotania czyjego, żeby sobie sprawić rozrywkę.

W i s ł a.

Dosyc już mrozów i śnieżnych zamieci, nasiedzieliśmy się w ciasnym pokoju do woli. Czas wyrzeć na świat Boży, bo słonko już wcale nie źle przygrzewa. I niebo uśmiecha się do nas, chociaż czasem garstkę śniegu za kołnierz nam sypnie. To inaczej być nie może, bo właśnie mamy miesiąc Marzec a „w Marcu jak w garcu.” Śnieg wprawdzie czasem jeszcze pada, ale topnieje a nagromadzone w ciągu zimy lody także tają i tworzy się woda. Woda ścieka zawsze do miejsc niżej położonych, dlatego o tej porze, wielka jej ilość do Wisły spływa tak strugami, jak i z pobocznych rzeczek i rzek które do niej wpadają. Ten napływ wody z różnych stron, mianowicie z gór, sprawia, że skorupa lodowa się wznosi. Przy tem podnoszeniu się, lód pęka z hukiem i łamie się w kawały; słońce dopomaga swojemi promieniami, tak, że nareszcie lód rusza. Warto wtenczas popatrzeć na Wisłę. Woda wezbrała ogromnie i grozi wylewem; kra o sinoszarym grzbiecie, jak nieprzejrzane stado zwie-

rząd drapieżnych, posuwa się z szumem naprzód w ściśnionych szeregach. Biada śmiałkowi, któryby się w tę porę chciał puścić na wodę — zginąłby niechybnie. Oprócz tego, w lecie, podczas topnienia lodów na górach, Wisła także przybiera, a czasem występuje z koryta i zalewa okolice.

Lecz Wisła nie zawsze jest tak groźną: „Spłynęły już lody, a rzeka porusza się gładko;” nie kra pokrywa teraz jej powierzchnię, ale gabary z pszenicą sandomierską, tratwy drzewa z flisami i orylami; berlinki o wysokich masztach i statki parowe uwijają się po jej falach. — Wielka część statków żaglowych przyplywa po nasze płody z Gdańska, który leży przy samem ujściu Wisły do morza Bałtyckiego, a galary z jabłkami galicyjskimi przybywają od Krakowa.

Położenie tych dwóch wymiennych miast nad Wisłą, wskazuje że rzeka wcale okazały kawał kraju przepływa, lecz źródło jej znajduje się szcze za Krakowem, we wsi Wisel, stoku góry Baraniej należącej do łańcucha gór Karpackich. Z początku Wi

jest sobie rzeczka niepozorną, dopiero pod Krakowem, złączywszy się z rzeką Przemszą zaczyna być splawną i płynie ku wschodowi koło Opatowa i Sandomierza. Przyjąwszy w siebie rzekę San, rozszerza swoje łóże i pod Zawichostem skręca na północ. Dalej zabiera zapasy zbożowe ze śpichlerzy w Kazimierzu, pozdrawia piękne Puławy, a płynąc ku zachodowi, pod Warszawą znowu zwraca w kierunku północnym, żeby obmyć stopy góry dźwigającej starożytny Płock, a powitawszy Włocławek, złożyć pokłon Toruniowi, rodzinnemu miastu Kopernika. Minąwszy Gniew, Wisła rozdziela się na dwie odnogi; jedna z nich, zwana Nogat, wpada do zatoki Świeżej a druga do Gdańskiej.

Cały bieg Wisły, od źródła do ujścia, wynosi 130 mil, a przyjmuje w siebie 120 rzek i rzeczek z których najznaczniejsze po jej prawej stronie są: San, Wieprz, Bug z Narwią; po lewej, Pilica. Gdy staniemy twarzą do biegu rzeki, mamy po prawej ręce brzeg prawy — po lewej brzeg lewy. — Nizina przez którą Wisła płynie, jest nader urodzajna, a na jej brzegach znajduje

się kilka sławnych miast. Najstarszem z nich jest Kraków, posiadający uniwersytet założony jeszcze przez Władysława Jagiełłę i mnóstwo pięknych kościołów; najludniejszem jest Warszawa, mająca około 300,000 mieszkańców, a najbardziej handlowe jest Gdańsk. Warszawę z przedmieściem Pragą łączy przedziwnej budowy, wspaniały most żelazny spoczywający na granitowych słupach; drugi stały most na Wiśle znajduje się pod Toruniem, obecnie zaś pod Warszawą ukończono trzeci most przez który kolej żelazna przechodzi.

R y b a k.

Paniczyk wychodził codziennie gdzieś
z domu

Wychodził, lecz dokąd? nie mówił nikomu;
Udawał że idzie pospiesznie do szkoły.
A książeczki chował pod sukni swej poły.
A codziem podążał prościutko nad wodę,
Z drugimi wyprawiał tak święte wagary,
Włazili na wielką leżącą tam kłodę,
By wędkę zarzucać na siwe jazgary.

Aż raz pan inspektor nadesłał wiadomość,
 Że Julek już miesiąc na lekcjach nie bywa.
 Kiedy to usłyszał ojczulko jegomość,
 Nic mamie nie mówiąc, za czapkę porywa.
 I idzie i szuka aż znalazł gdzieś żaka.
 — Podstąpił bez szumu, zniecka do
 zucha

I wzięwszy za rękę, tak szepnął do ucha;
 „Łowił rybak rybki, złowili rybaka”,

Co dalej tam było, powiedzieć nie mogę...
 Wagusy jednakże niech mają przestrożę,
 Że wędka czasami sobie przypomina,
 Iż zanim łowiła, trzepała jak trzcina.

Wieczór.

Cienie przedłużyły się olbrzymio,
 i malcy to widząc cieszą się, że wielkimi
 są ludźmi. Słońce zapada za skraj nieba
 i zabarwia obłoczki na czerwono; upał
 dzienny ustąpił a wietrzyk chłodnawy
 przewiewa powietrze. Nad wodą unosi
 się mgła; rosa zwilża trawę i zioła. Bydło
 i owce rycząc i hecząc powracają z past-
 wistka, a tuman kurzu, który sprawiają

swoim pochodem, zakrywa je przed naszymi oczyma. Chmary komarów kołuje w powietrzu, pszczoły powracają do uli a ptaszki zawodzą swoją pieśń wieczorną. Wszystko zabiera się do spoczynku, tylko żabki wkoło stawu tem zawzięciej skrzeczą, nietoperze właśnie teraz wychodzą na łowy, a świętojańskie robaczki uwijają się po krzakach jak błędne ogniki. I dzieci chciałyby jeszcze poigrać trochę na chłodzie, ale mama woła: spać dzieci, spać! dosyć na dziś.

K s i ę ż y c .

Z księżycą to wielki figlarz. Raz skryje się całkiem, innym razem pokazuje koniec noska, a kiedy jest w dobrym humorze, pozwala oglądać swoje pyzate oblicze w całej okazałości. Widać że lubi się bawić w chowanego. Lecz niech się chowa jak mu się żewnie podoba, my go wszędzie znajdziemy i odkryjemy jego sztuczki.

Coś niewidać jegomości przez siedm dni, daleko on od nas buja. Przez ten

czas on się wdzięczy do yankesów(*) i czerwonoskórych indjan Ameryki. Kiedy się dosyć naprzegląda w wodach olbrzymich rzek Missisipi, Amazonki i w wodospadzie Njagara, wędruje dalej na wschód, ponad oceanem Atlantyckim i nareszcie pokazuje Europie i Afryce swoje dwa zaostrzone różki. Gdyby go w tym czasie jaki rolnik mógł dostać, przyprowadziłby doń trzonek i użył za sierp do żęcia zboża.

Niby niechący wychyla się coraz bardziej i pokazuje pół twarzy, czasem świecącej jak srebro. Wydamy tu księżyc z sekretu, że on wcale światła z siebie nie wydziela, tylko otrzymuje takowe od słońca, zaś na ziemię rzuca odblask. Na dowód że pan księżyc nie jest nic świetniejszego od naszej ziemi służy to, że zdarza się, iż czasem wcale nie świeci czyli zostaje zaćmionym. To ma miejsce, ile razy w równej linji do słońca stanie ziemia, przez nią księżyc. Wtedy cień ziemi pada na niego, i to jest zaćmienie księżyca.

*) Tak nazywają mieszkańców Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Lecz nie dokuczajmy mu zbyt
Oto wypłynął w całym blasku na mo-
dre niebo; łagodne światło rzuca na
nas, oświeca długie noce zimowe, to-
warzyszy nam w podróży i na prze-
chadzkach, w pogodny wieczór wiosenny.
To pełni.

I znowu niezmordowany wędrownik,
ciągnie dalej odwieczną swą podróż ku
koso-okim chińczykom i japończykom;
obmywa się z kurzu w oceanie Spokoj-
nym, wita się po drodze z Australją
i jako nów ukazuje się w złotodajnej Ka-
lifornji, w Meksyku, i nakoniec, w ca-
łej Ameryce.

Wspomnieć tu jeszcze wypada, że
kiedy księżyc jest w kwaśnem usposo-
bieniu, natenczas przywdziewa lisią czap-
kę i to służy za wskazówkę, że ma na-
stąpić niepogoda.

Oprócz tego panowie gwiazdźiarze
(astronomowie), co to zaglądną w niebo
jak zegarmistrz do zegarka, mówią o księ-
życu rozmaite inne rzeczy. I tak twierdzą,
że plamy widzialne na tarczy księżycowej,
są to cienie które rzucają olbrzymie góry,
dochodzące nieraz do 27,000 stóp wyso-
kości; że wody wcale tam niema, ale

za to liczne przepaście i wąwozy. Dalej dowiedli, że powierzchnia jego jest 13 razy mniejszą niż powierzchnia ziemi, a średnica wynosi 468 mil. Księżyc odległy jest od ziemi na 51,800 mil; gdyby zatem kolej żelazna poprowadzoną być mogła na księżyc, zajechalibyśmy tam, mniej więcej w 300 dni. Lecz niema pogo tam jeździć, gdyż jeszcze niewiadomo, czy kto zamieszkuje księżyc, a jeżeli są mieszkańcy, to zupełnie są do nas niepodobni.

Letnia noc.

Upadła już rosa, jednakże niebios
Błyszczą jakby w dzień;
Bo miesiąc wysoko, wytrzeszczywszy oko,
Het, rozpędził cień.

Słowiczek w gaiku, tiniku, tiniku!
A gdzie rośnie świerk,
W samotnej pieczurce, w głębokiej swej
nórcie,
Swierszczyk — ćwierk, ćwierk, ćwierk!

Tam gdzie skała płowa, huku! woła
sowa

I nietoperz plisz!

A gdzie róży krzaczkę, świecące robaczki
Ogonkami — błyś!

I wiaterek dmucha, szmer niosąc do
ucha

I zapach pod nos;

Wącham z całej siły, ten zapach tak miły
Łowię uchem głos.

Pod lasem daleko, wiosieczka nad rzeką
W niej — hau, hau psiuch;
Czy to jaki złodziej, po nocy tam chodzi
Czy jaki zły duch?

Tam siekiera stuka, a tam warta huka,
Skrzyp słyhać u wrot;
Tam znów dziecię krzyknie, tam cie-
lątko ryknie
Lub zamiauczy kot.

A hen, hen, przy młynie, gdzie rzeczułka
pływie,
Słyhać wielki szum:
A zaś gdzie łotocie, kwitnące na błocie
Żabki — kum, kum, kum!

A niebo nad światem, z wielkim maje-
statem
Rozciąga swój dach,
Na niem przyświeca łysy łeb księżycy,
Gwiazd wiele, aż strach!

Wtem czarna jak sadza; chmura się
zgromadza
Z maluteńkich chmur,
Bo w rozlicznych stronach, po nieba
zagonach,
Chodzą nakszałt kur.

Lecz nagle wyskoczy, wiatr skądśi
ochoczy
I po niebie dmuch!
I te wszystkie chmury, i te czarne kury
Rozpędził jak puch!

I znowu przyświeca miesiąc — Boża
świeca
I gwiazd straszna moc!
I nikt nie zaprzeczy, tak widocznej rzeczy,
Że to piękna noc.

Wynaleść, odkryć.

Są ludzie, którzy te dwa wyrazy biorą za jedno i często z tej przyczyny w ich użyciu błędzą. Pochodzi to z niezajomości właściwego tych słów znaczenia. Odkryć znaczy wyprowadzić na jaw to, czego ludzie nie znali; wynaleść zaś znaczy, zrobić coś takiego, czego wcale przedtem nie było.

Dla tego mówimy: Kopernik odkrył bieg ziemi około słońca; Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę; ale Jan Guttenberg wynalazł sztukę drukarską, Howe wynalazł maszynę do szycia. Bo bieg ziemi około słońca był taki sam od stworzenia świata, tylko że do Mikołaja Kopernika ludzie mniemali, iż słońce się obraca około ziemi, a on prawdę odkrył. I Ameryka istniała także od stworzenia świata, tylko że tej części ziemi nie znano w Europie, aż do chwili odkrycia jej przez Krzysztofa Kolumba, Przeciwnie zaś, druku za pomocą ruchomych czcionek, nigdy nie było, a Guttenberg go wynalazł; i maszyn do szycia nie było, aż do udowodnienia ich przez Howego.

Przy tej sposobności powiem wam, że Mikołaj Kopernik był polakiem, urodzony w Toruniu r. 1473; Kolumb włoschem, rodem z Genui; Guttenberg był niemcem, a Howe amerykańnikiem.

Z e g a r.

Zegar jest narzędziem do mierzenia czasu, a ten co robi i naprawia zegary, zowie się zegarmistrzem. Są rozmaite zegary; wieżowe, ściennie, stołowe, i kieszonkowe, duże i małe. Jedne trzeba nakręcać tylko raz na tydzień, inne raz na dobę; jedne są głośnie czyli bijące każdą godzinę, inne ciche, które tylko pokazują skazówkami, ile godzin i minut dnia upłynęło. Bywają także zegary które mają tarczę liczbową (cyferblat) podzieloną na 12 części, ale pierwotnie ta podzieloną była na 24 części, odpowiednio do liczby godzin w jednej dobie.

W ostatnich czasach zegary bardzo się rozpowszechniły, zwłaszcza po miastach, tak że w niektórych domach po kilka znaleźć ich można. Z pomiędzy

moich młodych czytelników, pewno także niejeden posiada już zegarek, jako nagrodę za pilność i posłuszeństwo. Zegary, oprócz użyteczności swojej, stanowią jeszcze przyzwoitą ozdobę czy to mieszkania czy ubioru. Do upowszechnienia zegarów przyczynia się głównie stosunkowa ich taniość. Lecz zegary nie zawsze były takie tanie i takie piękne, jak teraz, owszem, cena ich musiała być nader wysoką, skoro dała powód do przysłowia: „Kto ma folwarki może nieć zegarki.” Dawni rycerze nasi nosili przy karabeli mocne zegarki, które kilkakroć większe były od największych kieszonkowych, jakie dziś wyrabiają.

W starożytności znane były tylko dwa rodzaje czasomiarów t. j. słoneczne i klepsydry. Pierwsze umieszczano na zewnętrznych ścianach kościołów i gmachów i te według słońca wskazywały godzinę dnia. Klepsydrą, było naczynie szklanne o dwóch przyległych komórkach oddzielonych od siebie dziurkowaną przegródką. W jedną z tych komórek wsypywano tyle miałkiego piasku, ile w ciągu godziny mogło go przeciec przez wspomnianą przegródkę. Gdy wszystkie

piasek przeleciał do drugiej komórki, naczynie obracano piaskiem do góry. Bywały także klepsydry, urządzone w ten sam sposób do wody.

W późniejszym czasie wynaleziono zegery z wahadłami, bijące, a następnie zaczęto wyrabiać w Norymberdze zegarki kieszonkowe, które dla swego jajowatego kształtu, nazywano norymberskimi jajami. — Obecnie, najświetniejsze fabryki zegarków znajdują się w mieście Genewie, w Szwajcarii, a jedni z najświetniejszych tutejszych fabrykantów, Czapek i Patek, są pochodzenia polskiego.

O tem, co zegarek mówi.

Janek był grzecnym chłopczykiem, a gdy właśnie kończył ósmy rok, rodzice którzy byli dosyć zamożni, podarowali mu w dzień imienin mały zegarek. Ale nie taki, co to sam nie chce iść, i trzeba go popychać jak leniwego ucznia do książki, lecz prawdziwy kieszonkowy zegarek. Radość chłopczyka była nie do opisania. Co chwila wy-

ciągał go z kieszonki i spoglądał na niego i śledził za ruchem skazówek, i porównywał skazywaną godzinę z godziną na innych zegarach, znajdujących się w domu. Nareszcie nadeszła noc i trzeba było iść spać. Ale jakże tu rozstać się z kochanym zegarkiem?—Wziął go więc Janek i położył pod poduszkę i sam także się położył. A w ciszy nocnej słyszał jak zegarek cyka, i w rozmarzeniu zdawało mu się, że coś szepcze. Nadstawił zatem uszka i słucha:

Tiku tak, tiku tak,
Płynie czas, płynie czas
I tak płynie bez ustanku,
Tiku tak, tiku tak,
Od wieczora do poranku,
Od poranku do wieczora,
I tak jutro, jak i wczora.

Tiku tak, tiku tak,
Drogi czas, drogi czas!
Nie kupić go i za złoto;
Kto napróżno chwile traci,
Ten się nigdy nie zbogaci,
Bo on złoto rzuca w błoto!

Tiku tak, tiku tak,
Mądry czas! mądry czas
Dla dobrego, dla mądrego;
Kto książeczki, pracę lubi,
Ten z mądrości się pochłubi
Kiedy przyjdzie czas na niego.

Tiku tak, tiku tak,
Piękny czas! piękny czas
Komu młodość, zdrowie służy;
Zdrowe ciało, dusza zdrowa
Niech w młodości się zachowa
Niech trwa młodość jak najdłużej

Tiku tak, tiku tak,
Czas już spać, czas już spać...
i — Janek chrapnął i spał do samego
rana, a nazajutrz opowiedział mi, co
się nasłuchał od swego nowego zegarka;
następnie zaś ja spisałem to dla moich
młodych przyjaciół.

Augustyn Spiski.

Pewnego letniego wieczoru przybył
do Warszawy pieszo, ubrany ubogo, je-

denastoletni chłopiec. Zalekniony mnóstwem i wielkością domów i ogłuszony turkotem miejskim, szedł trwożnie przez ulice, nieśmiejąc nikogo o nic zapytać. Noc już zapadła, gdy zabłąkał się pod kościół katedralny św. Jana. Znużony i głodny, przytulił się do ściany i zasnął. Nazajutrz gdy ujrzał podwoje świątyni otwarte, wszedł do kościoła i tam gorąco się modlił. Łzy i skromna podstawa chłopca, zwróciły uwagę obecnego tam pana. Na zapytanie tegoż, dziecko opowiedziało, że jest synem ekonoma, który zmarł niedawno, zostawiając żonę i kilkoro dzieci w nędzy, i że on, jako najstarszy, przyszedł do Warszawy, żeby się czego pożytecznego nauczyć. — Pytający, który był kupcem, upodobał sobie chłopca, i przyjął go do swego handlu korzennego na naukę. Od tej chwili Spiski nie opuścił tego miejsca aż do śmierci. Praktykę przetrwał, pomimo wielu przykrości, których doświadczał od subiektów; następnie służył w tym samym handlu za pomocnika z płacą 1000 złotych rocznie, a w końcu nabył go na własność. Trzeba było nadzwyczajnej pracy, uczciwej zabiegli-

wości i oszczędności, ażeby z niczego dojść do posiadania handlu wartującego krocie.

W oknie handlu Spiskiego stał niedźwiadek na tylnych łapach, z tablicą na piersiach, na której wypisane było po łacinie: *semper idem*, co znaczy: zawsze ten sam. Była to dewiza właściwa dla człowieka, który przez dziesiątki lat prawie bez przerwy, znajdował się na swoim stanowisku, zawsze gotów na usługi, rzetelny i uprzejmy.

Tym sposobem ów biedny, śpiący na bruku chłopczyzna, któregośmy na początku widzieli, doszedł do bardzo znacznego majątku, bo oprócz obficie zaopatrzonego handlu, nabył i rozległe dobra ziemskie.

Nie trzeba jednak sądzić, że wszystkie myśli Spiskiego skierowane były tylko do zgromadzenia bogactw. Będąc jeszcze subjektem, dopomagał już swojej matce, a gdy nabył handel na własność, sprowadził całą swoją rodzinę do Warszawy i umieścił ją przy sobie. Pamiętając zaś od czego sam zaczął swój zawód, Spiski chętnie wspierał ludzi uczciwych i pracowitych; dla bie-

dnych był dobroczyнным a pobożnym przez całe życie.

Kraków nie odrazu zbudowany.

Żadne miasto odrazu nie stanęło, a .em bardziej takie obszerne jakim, jest Kraków, który niegdyś był stolicą i rezydencją królów polskich. Rzecz prosta, że nie mógł być zbudowanym od jednego razu, w jednym dniu; owszem nad zbudowaniem tylu gmachów i kościołów, musiano pracować pilnie i przez długi czas. — Stąd to pochodzi, że kto nakłania drugiego do cierpliwości i wytrwania; kto sam siebie pociesza, że odrazu zamierzonego nie osiągnął skutku, mówi zazwyczaj: Ha i Kraków nie odrazu zbudowany!

To przysłowie jednakże, bynajmniej opieszalym za wymówkę służyć nie może. Bo kto swoje czynności rad odkłada z dnia na dzień, ten niezawodnie nietylko Krakowa, to jest czegoś ważnego, ale

i żadnej innej rzeczy, godnej uwagi nie zbuduje. Przeciwnie, pracowity i wytrwały, z drobnych rzeczy dochodzi do wielkich, gdyż taki człowiek pamięta, że z małych cegiełek składa się gmach, i że chcąc mieć dukata, trzeba po groszu zbierać. Dlatego też skrzętnie składa ziarnko do ziarnka, a z tych ziarenek uzbierze się miarka.

M ł y n.

Młyn jest nader użytecznym i niezbędnym dla ludzi przyrzędem. Bez młynów nie mielibyśmy mąki a stąd i chleba smacznego, a ziarno musielibyśmy w całości spożywać, albo co najwyżej, nędznie potłuczone kamieniem lub innym narzędziem.

Pierwszym używanym przez ludzi młynem, był niezawodnie ręczny, czyli żarna, które często na wsi napotkać jeszcze można. Skład ich jest bardzo prosty: złożone są z dwóch w skrzynce jeden na drugim umieszczonych, okrągłych kamieni, obsadzonych na walcu.

Spodni kamień jest nieruchomy, wierzchni zaś obraca się około walca za pomocą przytwierdzonego doń pręta, i tym sposobem miazdzy wsypane ziarno o chropowatość kamieni. Lecz same żarna nie odpowiadałyby dzisiejszym potrzebom: bo najprzód, mielenie odbywa się bardzo powolnie i mozolnie, a powtóre, mąka żarnowa nigdy nie może być zupełnie mialką. Dlatego też mamy kilka rodzajów doskonalszych młynów.

Wiatrak stoi na pagórku, odsłoniętym ze wszech stron. Bo gdyby stał w dole, albo na miejscu zasłoniętem zabudowaniami lub lasem, to wiatr nie miałby wolnego dostępu, i nie poruszałby jego czterech szmig. Młyn stoi zawsze odwrócony pod wiatr, którego siła obraca szmigi, a za nimi wszystkie koła, kółka, wały i wielki kamień — z których młyn się składa. Wiatrak daje się wykręcić na wszystkie strony, stosownie do kierunku wiatru. — Młyn wodny idzie za pomocą wody. Woda, spadając na wielkie koło, obraca je, a to pociąga za sobą ruch wszelkich kół we młynie. Deptak poruszają konie, które chodząc po ogromnej tarczy, pochyło

położonej, takową obracają, a to wprawia w ruch cały przyrząd młyna. Jeszcze jeden gatunek stanowią młyny parowe. W tych para zastępuje siłę wiatru, wody lub koni.

Samo mielenie odbywa się we wszystkich młynach, mniej więcej, w jednakowy sposób. Młynarz wsypuje zboże w tak zwany kosz, to jest w olbrzymi lejek, bezustannie trzęsący się. To trzęsienie sprawia, że ziarno się usuwa z kosza i wpada pomiędzy kamienie, gdzie ono się rozciera. Tak starte leci w pytel, przez który mialka mąka przesiewa się w skrzynię, a otręby uchodzą w inne naczynie.

Jest to bardzo dobrze, że mamy rozmaite rodzaje młynów. Czasem np. niema wiatru, i wiatrak musi stać; gdyby zatem nie było innego młyna, tobyśmy się musieli obywać bez mąki i chleba. W niektórych miejscach znowu niema dosyć wody dla młyna, żeby więc było, gdyby same wodne były młyny.

Olejarnią nazywa się młyn, zastosowany do wytlaczania oleju.

Charakterystycznym w młynach jest to, że nic tam spokojnie leżeć nie może;

wszystko się trzęsie, a zębate koła sprawiają ogłuszający klekot. Kiedy gromadka dzieci przebierze miarę w figlach, mówią o nich starsi, że robią hałas jak we młynie.

Rzetelni Szwycanie.

Było to w okolicy miasta Szwyc. Pewnego letniego wieczoru, gospodarz Walenty przyszedł do Kacpra, zajętego pracą w polu i rzekł: „Sąsiedzie, teraz jest sianożęć, a wiadomo ci, że mamy spór o tę łąkę. Ale ponieważ oba nie uczeni jesteśmy, żeby tę sprawę rozstrzygnąć, sprosiłem sędziów w Szwycu, żeby osadzili, kto z nas ma słusność. Jutro tedy wybierzesz się ze mną do sądu.” — Widzisz sąsiedzie, że łąkę skosiłem — odpowie Kacper — a że pogoda służy, muszę jutro siano złożyć w kopy; nie mogę zatem w żaden sposób pójść z tobą. — „A ja znów sędziów z niczem puścić nie mogę, skoro ten dzień wyznaczili; i siana też sprzą-

tnąć nie można, póki nie będziemy wiedzieli do kogo łąka należy.

Kacper potarł sobie czoło, namyślił się i rzekł: Wiesz sąsiedzie, jak my to urządzimy?—oto ty idź jutro do Szwycu, przedstaw sędziom swoje i moje pretensje, to przecież ja nie potrzebuję koniecznie być obecnym. — „Ha, kiedy mnie ufasz, to bądź pewnym, że będę bronił twoich praw, równie jak swoich własnych“.

Nazajutrz po tej rozmowie poszedł Walenty do Szwycu, i tak jak umiał, przedstawił sądowi swoje i Kacpra roszczenia do łąki. — Wieczorem tegoż dnia wrócił, i zaszedł do Kacpra i oznajmił: „Łąka jest twoją, sędziowie tobie ją przyznali; życzę ci szczęścia i cieszę się, że rzecz się wyjaśniła.“

Kanton Szwycki z miastem Szwyck leży w rzeczypospolitej Szwajcarskiej.

Od łyeczka do rzemyczka, od rzemyczka do koniczka.

Kto się dopuszcza małej winy, ten łatwo stanie się występny. Kto rozmyślnie kłamie, ten dojdzie do tego, że fałszywie będzie przysięgał, a kto drobną rzecz bierze drugiemu bez jego wiedzy, ten bliskim jest tego, że się stanie złodziejem.

Nikt odrazu ani bardzo cnotliwym, ani bardzo występny się nie staje. Często mały na pozór grzech, prowadzi do wielkich zbrodni, jak i mała iskra, często wielkiego pożaru staje się przyczyną. Dlatego ćwiczyć się należy w małych cnotach, unikać zaś i strzec się przewinień, choćby najmniejszych.

Huta szklanna.

Wyraz huta pochodzi z niemieckiego Hütte, co znaczy po polsku chata, czyli lichej budowy dom. Rzeczywiście, powierchowność huty, bywa nader nie-

dbale wykończoną. Zazwyczaj dbają tylko o to żeby zapewnić trwałość wewnętrznemu wiązaniu, mało myśląc o zewnętrznej ozdobie. Jak tylko stanie rusztowanie z silnych słupów, belek i krokwi, obijają je tarcicami, a dach wysoko wyprowadzony pokrywają gątem. Mała tylko liczba hut w kraju naszym, stanowi pod względem wykończenia architektury wyjątek. Główną przyczyną tego zaniedbania, jest zapewne niebezpieczeństwo, na jakie budowla z powodu bliskości ognia, jest narażoną.

Większej staranności wymaga piec hutniczy. Kształt ma zwykle okrągły, tylko z jednej strony, za pośrednictwem kanału, łączy się z drugim piecem, zwanym usuw. Piec hutniczy, murowany z piaskowca, spoczywa na potężnych z kamieni polnych i palonej cegły fundamentach, które tworzą pod całym piecem kotłnię, służącą za ognisko. Ogień przechodzi stąd do wierzchniej części, tak przez urządzone na ten cel rosztę jak i otworami, w które się stawiają donice z gliny ogniotrwałej. Na około pieca ułożony jest pomost, na którym się mieszczą robotnicy ze swemi narzędzia-

mi. W wspomnianych donicach topi się materiał na szkło, a do każdej donicy zostawiony jest w ścianach pieca otwór czyli czeluść. Przed tąż stojąc robotnik swoją rurką, zwaną piszczel, wybiera materiał, rozdyma go i podług formy urabia różne naczynia, jak szklanki, karafki, kieliszki i t. d. Skoro naczynie jakie gotowe, chłopiec zabiera je i odnosi do usuwa, żeby raptem nie ostygło, gdyż w przeciwnym razie szkło bywa nader kruche. Usuw o wiele słabiej opalony jest, niż piec hutniczy. Oprócz opisanych pieców są jeszcze w hucie piece do suszenia drzewa, zwane drutaki.

Piec na którym taflane szkło się wyrabia, różni się trochę swoim kształtem od poprzedniego a mianowicie tem że jest znacznie wyższy. Szkło taflane nie wychodzi zaraz w tej postaci, jak je w handlu widzimy. Najprzód hutnik wydmie na piszczelu wielką banie, w kształcie walca, podobnego do klosza, jakim zegary stołowe nakrywają; dopiero po przecięciu walca wzdłuż, kładzie się go w urządzony na to piec, gdzie się rozwija na kamiennym trzonie, a gła-

dząc tak rozwinięte szkło, nadają mu poziomość równą, jaką mają szyby.

Widok wnętrza huty podczas roboty, jest bardzo zajmujący, a w nocy zwłaszcza, robi silne wrażenie. Szczególnie przyczyniają się do tego wielki ogień i ruch jaki sprawiają chłopaki, przy odnoszeniu szkła do usuwa.

Teraz w masy ognistym roztopie
Na wyścigi piszczele się nurzą,
A chłopacy w rozkiełzłym galopie,
Tej szalonej żelaz pieśni wtórzają.

A na końcu żelaznych piszczeli
To się kulka ognista migoce,
A tam znowu naczynie wystrzeli,
Niby gwiazda lecąca wśród nocy.

Sposób robienia szkła znany już był w głębokiej starożytności, a jego wynalezienie dzieje przypisują Fenicjanom, którzy byli narodem przemysłowym i handlowym, a zamieszkiwali w Małej Azji, nad brzegami morza Śródziemnego.

Kolenda.

Było to wieczorem, w trzecim tygodniu adwentu. Pan Bardziński siedząc przy stoliku, z zajęciem czytał gazetę, a dwie jego córeczki, starsza Marynia a młodsza Leosia, siedziały nad robótką i pilnie haftowały: matka zaś na osobnym stole przykrawała sukienki dla dzieci. Ponieważ to było przed Bożym Narodzeniem, obie dziewczynki, dręczone ciekawością, od czasu do czasu zwracały się do matki i nieznacznie wybadywały ją, co im przeznaczyła na kolendę, przy czem każda z nich dawała do zrozumienia, czego sobie życzy.

Wtem podniósł głowę ojciec i odezwał się w te słowa: Czy chcecie co nowego posłuchać? — O prosimy, prosimy, niech tata przeczyta! zawołały dzieci. I ojciec opowiedział im, że w odległym mieście zgorzało do 100 domów, i że w skutek tego wiele rodzin zostało bez dachu i bez odzienia, a wiele matek niema czem nakarmić swoich głodnych dzieci. Biedne dzieci! — dodał, jakie one będą miały święta. Dziewczynki posmutniały bardzo, a ojciec czytał sobie dalej

gazetę. Matka przy tej sposobności napomniała dzieci, żeby zawsze ostrożnie obchodziły się z ogniem, aby się nie stać podobnych nieszczęść przyczyną.

Po niejakej chwili przysunęła się Marynia do ojca, a gdy ten położył gazetę, wzniosła na niego zażawione oczy i rzekła: Kochany ojcze, czy myślisz mi znowu dać rubla na kolendę jak przeszłego roku? — A, dam ci moje dziecię, odpowiedział ojciec — jeżeli się tylko do tej pory nie spalimy. I Leosia zapytała o rubla, a ojciec taką samą dał odpowiedź. Lecz cóż zamierzacie zrobić z pieniędzmi, zapytał po chwili ojciec. — Ach drogi tato, mówiła proszącym głosem Marynia, czybyś nie pozwolił tych pieniędzy odesłać dla dzieci pogorzalców, które pewno na święta nic nie dostaną, a może i głodne będą. — Ale ty ich wszakże nie znasz, a one cię też i nie prosiły o to, zarzucił ojciec, — „Prawda, odrzeczcie Marynia, ale mnie ich bardzo żal, a przecież Pan Bóg także tyle dobrego mnie już użyczył, chociaż niczem na to nie zasłużyłam”. Ucieszył się ojciec tą mową dobrej córki i obiecał zająć się tem, żeby rubel doszedł przez-

naczonego miejsca. I Leosia poszła za przykładem siostry i ofiarowała swego rubla na pogorzalców.

Wtedy rzekł ojciec: Zgadzam się na waszą prośbę, lecz po co mają biedne dzieci czekać aż do wigilji? — przysłowie mówi że „dwa razy daje, kto wczas daje”. Oto ja dołożę jeszcze rubla, i mama ze swojej strony, coś z odzienia także dołoży i zaraz jutro wyprawię to do pogorzalców. — Obie dziewczynki aż podskoczyły z radości, ucałowały ręce rodziców i cieszyły się, że biednym dzieciom przyszły w pomoc. A gdy nadeszła święta wigilja, obie siostry, chociaż bez pieniędzy, radowały się swoją kolendą bardziej niż kiedykolwiek.

Co to za zwierz?

Dwa oczy ogniste u czoła,
Z czupryny kłębam się kurzy,
I sypie iskrami do koła;
Tak szybki jak wichur wśród burzy,
Bez skrzydeł, bez nóg i bez koni
Z wiatrami z chmurami się goni.

Mknąc naprzód — z pod żeber
z pod brzucha
Płomieniem i żarem wciąż bucha;
Sapania i zgrzytu bez miary...

— To wóz popychany tchem pary.

D r u k a r n i a.

Książeczka piękna; każde słowo wyraźnie odbija na białym papierze że aż miło w niej poczytać. Piórem niktby tak równo i jednostajnie nie napisał. A cóż dopiero mówić, gdy pomyślimy, iż takich samych książek, podobniuteńkich do siebie jak dwie krople wody, parę tysięcy można przygotować w ciągu krótkiego czasu. Ażeby mieć wyobrażenie w jaki sposób się to odbywa, musimy zwiedzić drukarnię.

Ruch tam panuje nielada; są tam zecerzy (układacze), drukarze (tłoczy-ciele) i pomocnicy. Zecer ma przed sobą skrzynię (kaszte) podzieloną na wiele przegród, a w każdej przegrodzie znajduje się wielka liczba czcionek (liter)

jednakowych lub znaków pisarskich, z pewnej masy ulanych. Z wielką wprawą chwyta zecer litery podług treści rękopisu, lub książki leżącej przed nim, układa je w wyrazy a z tych wiersze, aż się ułoży cała strona podług zamierzonej wielkości. Tak postępuje, póki potrzebnej do arkusza całego liczby stron nie ułoży. Stronice nazywają kolumnami, a jedną stronę arkusza, formą.

Ponieważ to prawie niepodobna, żeby zecer nie popełnił omyłek, dla tego każdy arkusz najprzód się raz odbija. Ten odcisk korektor przegląda i napotykanne omyłki wskazuje, a zecer takowe prostuje. Dopiero gdy korektor uzna ułożoną formę wolną od błędów, drukarz bierze ją pod prasę i umocowawszy druk rozpoczyna. Pomocnik drukarza nakłada za pomocą walca elastycznego, czernidło drukarskie na czcionki, a naprzeciw nich umieszczony jest arkusz zwilżonego papieru. Gdy litery poczernione zostaną, drukarz spuszcza papier na nie, wsuwa to wszystko pod tłocznę, którą naciska na papier; tym sposobem wszystkie litery się na nim odbijają.— Arkusz drukuje się wpierw z jednej

strony, a później druga strona w podobny sposób jak pierwsza się odciska. Na maszynach drukarskich tłoczenie nierównie szybciej się odbywa, niżeli od ręki. Maszynę taką byle kto może wprawiać w ruch, a tusz nawet sama maszyna nakłada.

Wydrukowane arkusze rozwieszają się a przeschnięte, wyprasowane i wygładzone, składają się w karty; każda książka złożoną jest z pewnej liczby kart.

F l o r e k.

Florek rad udawał pana... dorosłego pana. Więc czuprynkę nastraszał do góry, kołnierzyki i mankietki wystawiał na pokaz, nosił nawet laseczkę, był zawsze ubrany czysto i z szykiem—tylko wąsików mu brakło. W tem wszystkim nie było nic złego, bo każdy powinien się starać o przyzwoitą powierzchowność, byle bez przesady. — Ale jednego pięknego dnia ojciec oświadczył Florkowi, że go odda do jakiego zakładu przemysłowego na praktykę. Gdy to

usłyszał chłopiec, spuścił nosek na kwintę, bo mu się żal zrobiło, iż trzeba będzie wdziać bluzkę zamiast żakiecika, i że rączki dotąd białe i pulchne, utracą coś ze swojej delikatności. Nuż więc w targi, w prośby, żeby tę chwilę odwlec; lecz ojciec był niewzruszony i nic nie dało się wskórać. Florek tedy rad nierad, wstąpił do zakładu mechanicznego i jął się pracy. Z początku uważał to sobie za krzywdę, iż musiał pracować i walać swoje piękne rączki, i nieraz brała go chętka wdziać rękawiczki; ale bojąc się żartów ze strony swoich współpracowników, zaniechał tego. Gdy się jednak rozpatrzył w swoim nowym zawodzie i poznał, ile mądrości się zawiera w ustroju choćby najmniejszej maszyny, polubił pracę tak, że bez niej mu się nudziło. Tylko w niedzielę i święto ubierał się z podwójną starannością; a że praca daje siłę i pokrzepia zdrowie, więc Florek teraz daleko dzielniej wygląda, niż dawniej.

Powieść o niemiłosiernym bogaczu.

Przed dawnym czasem mieszkał w pięknej piętrowej kamienicy, na jednej z głównych ulic stołecznego miasta, bogaty pan Rublewicz. Że był bogaty, mógł się każdy łatwo domyślić: zajmował bowiem cały dom, jeździł kareta, trzymał liczną służbę i był sobie potężny i otyły — co, jak powiadają, nie do postów pochodzi. W tem wszystkim nie byłoby nic nadzwyczajnego, lecz p. Rublewicz, jak wiele innych bogaczy nie był najlepszym, ale owszem skąpym i popędliwym, i z tej przyczyny spotkała go nieszczęśliwa a dla podobnych jemu, nauczająca przygoda.

Nie każdy rodzi się bogatym. Wielu ludzi pilnością, oszczędnością i przemysłem, z ubóstwa przychodzi do majątków. Tacy ludzie zasługują na szacunek rozsądnego. Jest to bowiem obowiązkiem każdego, żeby wszelkimi godziwymi sposobami starał się o polepszenie swego bytu. — Takim dorobkowcem był właśnie nasz pan Rublewicz.

I nie byłoby to żadnym grzechem, gdyby on nie zapominał, że sam był kiedyś biednym, i nie stronił od swoich ubogich krewnych, ale raczej pomagał im.

Najbliższym owego bogacza powinowatym, był cioteczny brat jego, nazwiskiem Szelażek, który kiedyś był zdolnym i zamożnym krawcem, lecz odkąd zapadł na nieuleczoną słabość, już nie mógł siebie i rodziny pracą swoją wyżywić. Raz gdy mu bieda bardzo dokuczyła, odważył się pójść do swego brata z prośbą o wsparcie.

Ponieważ Szelażek był w lichem ubraniu, lokaj go nie chciał wpuścić do pana, i byłby biedak nawet nie zobaczył się z bratem, gdyby ten nie wyszedł właśnie dla jakiegoś rozporządzenia. — Poznali się bracia. Lecz Rublewicz udał że go wcale nie zna, i już spieszył dalej, gdy go Szelażek zatrzymał i przemówił pokornie: Kochany bracie, ulituj się nademną, wesprzej mnie, bo mi dzieci z głodu umierają. Na te słowa wymówione przy służącym, Rublewicz, wstydząc się pokrewieństwa biednego ale uczciwego człowieka, wpadł w gniew srogi, a że właśnie znajdowali się przy schodach

zaklął straszliwie, i podniósłszy nogę chciał nią zepchnąć Szelażka na ziemię. Lecz nieszczęściem dla siebie, chybił brata, a ciężarem swego żywota i siłą zamachu pociągnięty naprzód, stracił równowagę i nim zdołał uchwycić za poręcz, z łoskotem stoczył się na dół. Potłukł się nieborak tak dalece, że nie mógł się podnieść o własnych siłach, a gdy go zaniesiono na łóżko, pokazało się, że i nogę miał zgruchotaną. Natychmiast przywołano biegłego lekarza, ale ten bez ogródki oświadczył, że aby choremu życie ocalić, trzeba mu niezwłocznie odjąć nogę. Wybór nie był trudny. Odjęto więc p. Rublewiczowi nogę.

Kiedy się rana zagoiła i zaczął się podnosić, uczuł dopiero jaką poniósł stratę. Gdyż był uboższym nie tylko o jedną nogę i o kosztą kuracji, ale nadto utracił całą swoją tuszę. Choć z tego powodu stał się lekkim, nie podobna mu jednak było zostać w takim stanie i skakać o jednej nodze.

W owym czasie właśnie, gdy bogacz rozmyślał, jakby to dawną nogę zastąpić, wszystkie gazety rozślawiały zdolności mechanika Klepki, i donosiły,

że ten dorabia i przyprawia wszelkie utracone jakim bądź sposobem członki tak dokładnie, że w zupełności odpowiadają naturalnemu przeznaczeniu. — Ta wiadomość była dla chorego jakby zesłaną z nieba... Zadzwoił na lokaja i przykazał mu sprowadzić natychmiast owego sztukmistrza.

Rublewicz, opowiedziawszy przybyłemu swoje nieszczęście, temi słowy zakończył: Mój panie, zrób mi nogę taką jaką była moja, a zapłacę ci wiele sam będziesz żądał.

Klepka, który doskonale znał okoliczności wypadku i bogactwa pacjenta, odrzekł: Zrobię Jaśnie Wielmożnemu Panu nogę taką, iż sam nie uwierzysz, że ona nie jest naturalną, lecz wybacz JW. Panie, że ci powiem z góry, iż będzie kosztowała nie mniej jak 200,000 zł...

Skąpiec krzyknął przerażony.

— Widzę JW. Panie, że z naszego interesu nic nie będzie.

— Ależ nielitościwy z ciebie derus, mój panie.

— A zatem żegnam JW. Pana.

— Zatrzymaj się pan chwilkę...
Więc powiadasz — mówił namyślając

się bogacz — że będę miał nogę jak swoją dawną... i ani grosza opuścić nie myślisz?... Ha, to niechże już tak będzie, ale pamiętaj pan, że najdalej za dwa tygodnie ma być gotowa.

— Zgoda.

Jeszczeznaczony termin nie upłynął, mechanik przyniósł zamówioną nogę. Rublewicz wielce zadowolony, wziął się natychmiast do próby;—udała się wybornie.

— Mój kochany Paniel zawołał rozrzewniony, dużoś żądał, prawda, ale wart jesteś tej zapłaty.

Klepka pokazał mu, jak się ma obchodzić z maszyną, a odebrawszy umówione wynagrodzenie, oddalił się.

Bogacz chodził, przechadzał się, próbował i sam nie wiedział jak się nacieszyć tą swoją nogą. Mógłby kto sądzić, że od urodzenia był kulawym a teraz go wyleczono. W końcu umyślił wyjść trochę na miasto, którego tak dawno nie widział.

Gdy stanął nad schodami, przysły mu na pamięć dzieje całego tego nieszczęśliwego zdarzenia. Wtedy rzekł sam do siebie: „Jakiż to był ze mnie głupiec!

temi pieniędzmi, co wydałem na kurację mogłem Szelażka postawić na nogi, a w dodatku zachować swoje własne w całości... Lecz stało się! dodał z mocą, i tupnął gwałtownie swoją sztuczną nogą“

I jak strzała zbiegł po schodach, pędem wypadł na ulicę. Lecz jakież było jego zdziwienie i strach, kiedy spotkawszy znajomego, chciał się przywitać, nie mógł zwolnić kroku; bo go pchała naprzód niewidzialna siła, której w żaden sposób oprzeć się nie był w stanie. Biegł jednak nie mogąc się zatrzymać, i w rozpaczę skierował swe kroki ku mieszkaniu Klepki, który właśnie stał przed domem: ale cóż, kiedy noga mu nie pozwoliła przystanąć a ciągnęła dalej. Rozjątrzony Rublewicz, widząc co się dzieje, zaczął wołać co siły na Klepkę i wymyślać: Ha niegodziwcz, bodajcie... z twoją nogą... pójdziesz do więzienia! dla Boga, wstrzymaj tę przekłątą nogę!

Teraz dopiero poznał mechanik swego klienta, puścił się więc za nim

cwalem, i zebrawszy siły przecież zdążył go dognać. Uchwyciwszy Rublewicza wpół — myśląc, że tym sposobem zepsuje maszynerją sztucznej nogi i wstrzyma od dalszego biegu — uderzył nim całej mocy o ziemię. — Lecz jakże się Klepka przestraszył, gdy postawiwszy w ten sposób bogacza, ten z podwójną szybkością zaczął się od niego oddalać. O dogonieniu go nie było co myśleć, bo pędził jak strzała, a ludzie których na drodze spotykał, umykali przed nim ze strachu.

Tegoż dnia jeszcze, ulice miasteczka o pięć mil od stolicy położonego, przebiegał człowiek jak trup wybladły, okryty kurzem, z rozwianym włosom i oczami na wierzch wysadzonemi. Młodzi i starzy uciekali przed nim, jak przed upiorem a byli i tacy, co w owym biedaku, bogatego pana Rublewicza poznawali.

Był to on rzeczywiście. Widziano go odtąd w różnych miejscach, a niektórzy strzelcy utrzymują, że on jeszcze dotąd błąka się po lasach. — Czy tak jest lub nie, dosyć, że Rublewicz zniknął

ze swojej pięknej kamienicy, a ogromny jego majątek, w braku bliższych krewnych, Rząd przysądził na własność biednemu Szelażkowi.

ZENONEK W ZBROJ.

Moja mateczko, jeżeli prowadzimy wojnę, jeżeli naszą twierdzę cudze wojska oblegają, jeżeli mój tatuś jest na polu bitwy, to i ja, chociaż mały jego syn, powinienem być uzbrojony, co najmniej jak Tadzio felczera.

— Tatuś — odpowiedziała pani Bolecka, skubiąc szarpie — nie poszedł zabijać, ale opatrywać rannych.

— Więc dobrze — mówił dalej Zenonek — ja, jako żołnierz, będę nieprzyjaciółom wystrzeliwał kule, a ojciec jako lekarz będzie je wyjmował.

— Nie trzeba być tak okrutnym — rzekła matka. Wojna nie jest zabawką, ale nieszczęściem.

— Nieszczęściem jest także — powiedział Zenonek — gdy kto nie ma tego,

czego pragnie, i gdy z niego jeszcze w dodatku drwią. Tadzio felczera, który od rana do wieczora chodzi w zbroi, wyśmiewa mnie ciągle, nazywa tchórzem, szczurem fortecznym, zającym na dwu nogach, a nawet obiecuje, że mi kiedy swoim pałaszem obierze głowę jak cebulę. I co ja wtedy zrobię? Pogroziłem mu, że jeśli mnie dotknie, to go zakłuję sztyletem jak prosię, ale go nie zakłuję, bo sztyletu nie mam. On o tem wie i zaraz też mi powiedział: dudek może przebić tylko czubkiem. Widzi mama jak dumnie na mnie patrzy z dziedzińca. Tadzium!

Wszedł Tadzio.

Na głowie miał złoty hełm papierowy z czarną kitką, na piersiach złotawy pancerz z tektury, a na ramieniu strzelbę.

— Więc takiej chcesz zbroi? spytała matka, podczas gdy Tadzio maszerował sztywnie przez pokój.

— Takiej — odrzekł Zenonek — tylko jeszcze przydałby się rewolwer i sztylet.

— Dobrze — kupię ci.

— Zobaczysz mama, jak będę pięknie wyglądał. Pozwól no mi, Tadiusz, przymierzyć.

I zaczął z niego kolejno zdejmować a na siebie wkładać przybory wojenne. Pani Bolecka, porzuciwszy szarpie, chodziła niespokojna, wyglądając co chwila przez okno kogoś, kto by doniósł o ostatecznym wypadku porannej bitwy.

— Co tam się dzieje — co tam się dzieje — powtarzała w zamyśleniu.

— Patrz mamó — przerwał jej wreszcie Zenonek — dobywając zamasyście pałasz z pochwy.

Jeszcze matka nie zdążyła odpowiedzieć synowi, gdy do pokoju wsunął się żołnierz, okurzony, poczerniały, bladej, z plamami krwi na koszuli, z prawą ręką owiniętą i zawieszoną na pasku. Mężny Tadiusz, ujrawszy tą nagle jawiącą się postać, wlaź pod stół, ale nie czując tam dostatecznego bezpieczeństwa, wybiegł, przeraźliwie wrzeszcząc.

— Cóż tam? zapytała pani Bolecka.

— A dobrze, proszę pani — mówi żołnierz. E, albo to była bitwa: jakby głupi drażnił kijem psa w budzie, pies wyskoczył i łydki mu oberwał. Podlazło tych robaków pod twierdzę wszystkiego dwa tysiące; to też gdy armaty nasze kilka razy dmuchnęły, my z karabinów kropnęliśmy kulami a jeszcze pan generał z boku na pomoc przyszedł i trzepać zaczął, nieprzyjaciele tak zmiotali, że się w plecy bili piętami.

— Gdzie mąż mój?

— Właśnie mnie przysłał, ażeby pani ze służącemi zabrała wszystkie szarpie, bandaże i przyszła do wałów, bo jest dużo rannych, swoich i cudzych.

Pani Bolecka przywołała służące i wzięwszy opatrunki, wyszła spiesznie. Ponieważ w domu nikt nie został, Zenonek podążył za matką. Na dziedzińcu dostrzegł bojaźliwie wyglądającego z za węgła Tadzia.

— Bądź zdrow — zawołał — do niego — idę na wojnę!

— Oddaj mi mą zbroję — pisał płaczkliwie Tadzio.

— Oddam, jak zwyciężę — rzekł wyniośle Zenonek — i pobiegł.

Słońce nie dobiegło jeszcze do południa, ale rozrzucalo już gorące promienie z nieba, na którym nie uczepiła się ani jedna chmurka. Tylko z ziemi wznosił się i przyćmiewał światło pogodnego dnia szary obłok dusznego dymu prochowego. W twierdzy panował ruch niezwykły: ustawicznie przebiegali na koniach posłańcy, wchodziły i wychodziły rotty wojska, przy armatach uwijały się gromadki żołnierzy, wieziono lub niesiono rannych. Gdy pani Bolecka z synem mijała bramę fotreczną, jeden z żołnierzy odezwał się żartobliwie, salutując Zenonkowi.

— Za późno, pułkowniku Zenonie, za późno, już po weselu.

— Mama nie puściła — odrzekł chłopczyk.

Po za wałem roztaczała się szeroka płaszczyna, na której widać było oddziały wojska, skupione w czworobokach,

wozy, obszyte płótnami i zbierające na pobojowisku rannych, gdzieś leżał karabin, tornister, pałasz, trup konia lub człowieka. Od czasu do czasu odzywała się trąbka. Zenonek, pobudzony tym sygnałem, wycelował w przestrzeń strzelbkę i huknął: puf! puf! puf!

Pani Bolecka szukała wzrokiem męża. Nareszcie spostrzegła go w dali na okopie fortecznym: klęczał pochyłony i czemś zajęty. Podążyła więc z synem ku niemu. Szli nad rowem, w którym co krok leżeli martwi lub pokaleczeni żołnierze. Ten, dźwigając się z trudem, prosił panią Bolecką o garść szarpi dla zatamowania krwi, drugi błagał o trochę wody do picia, inny wydawał rozpaczliwe jęki, inny tarzał się z bólu, a jeden, w odmiennym mundurze, syknął, grożąc Zenonkowi:

— Wilczku! — jeszcze od ziemi nie odrosłeś, a już chcesz polować na ludzi!

— Mamusiu — szepnął chłopczyk, upuściwszy strzelbkę, tuląc się do matki — jak tu strasznie!

Ale ojciec był niedaleko. Wyjmował

on kulę ze szczęki leżącemu na wale oficerowi rozbitego, nieprzyjacielskiego wojska. Ranny, którego blada twarz wyrażała okropne cierpienie, milczał: ale wreszcie drgnął silnie, ujął rękę doktora Boleckiego i ściskając ją, rzekł z wysiłkiem:

— Dziękuję, serdecznie dziękuję: nie trudź się pan daremnie, nic nie pomoże, czuje już śmierć bliską.

Zamknął oczy, a gdy je znowu otworzył ujrzał przy sobie stojącego Zenonka, krzyknął wzruszony:

— Kaziu, najdroższy mój Kaziu!

Po chwili wszakże, rozpoznawszy pomyłkę, opadł na ziemię i wyszeptał:

— To nie mój Kazio, on został w domu i nie wie, że jego ojciec tu kona. Biedne dziecko, co poczniesz wraz z nieszczęśliwą matką! Na wasze wołania ja z grobu nie wstanę, smutnych twarzy nie ucałuję, chleba nie przyniosą. Kaziu mój! Kaziu!

— Ty nie Kazio — rzekł, zwracając się do Zenonka — masz na sobie

hełm, pancerz, szabelkę, chcesz być żołnierzem. Oj, malutki, nie zabijaj ludzi, bo możesz czasem zabić takim, jak ty, chłopczykowi ojca.

Z ust oficera splywała struga krwi, gardło zarzężało, głowa osunęła się bezwładnie. Jeszcze raz cicho wymówił:

— Mój Kaziu... Ka...

Ale nie dokończył wyrazu i skonał.

— Mamo, mamó — szlochał drżący Zenonek — uciekajmy stąd!

Pani Bolecka wsadziła syna na przejeżdżający wóz i wróciła do domu.

Przez całą drogę Zenonek milczał, polykając łzy, hełm mu spadł z głowy, pancerz — z ramion a szabelka się oberwała.

Matka, usiadłszy, przysunęła go do siebie, pocałowała i rzekła:

— Nie martw się, kochanku, kupię ci zbroję.

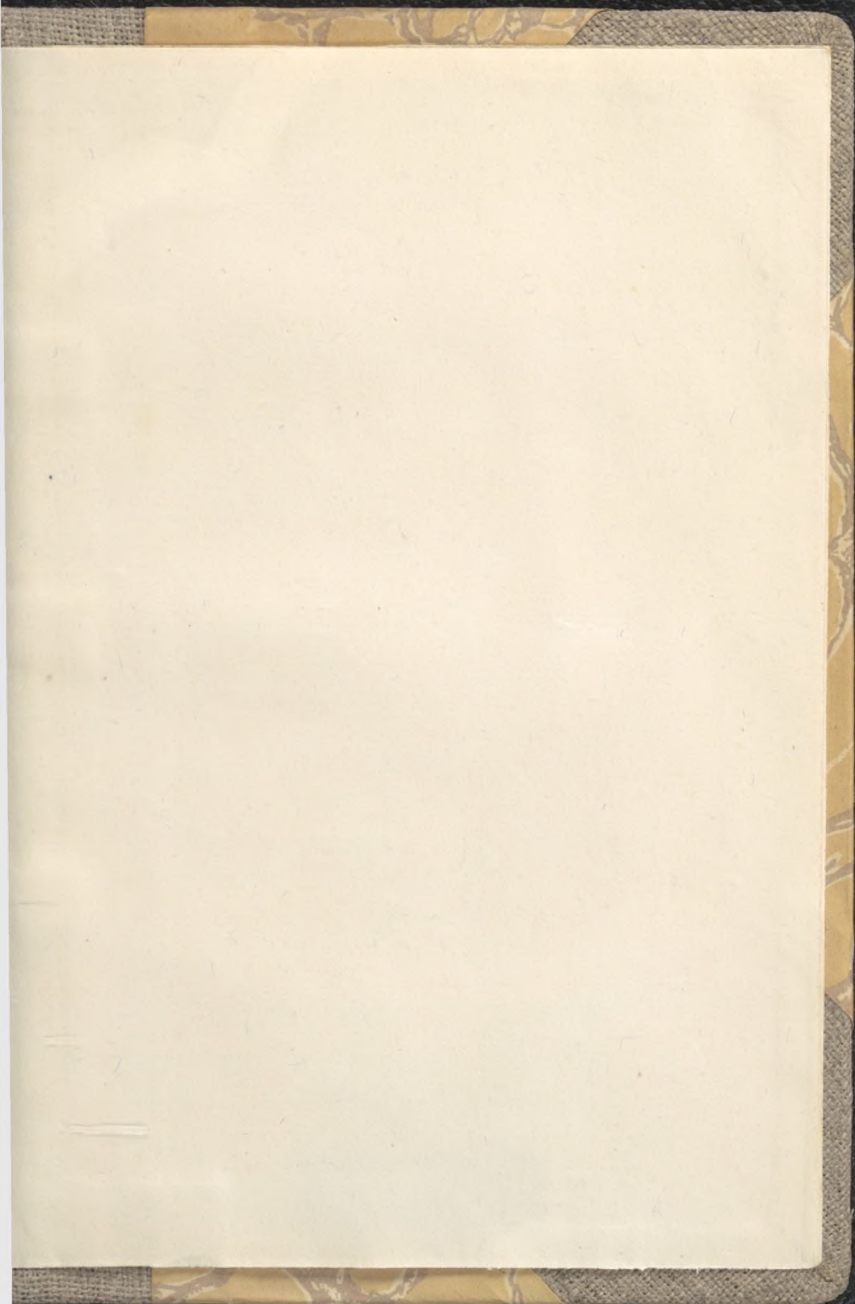
— Nie chcę, mameczko, nie chcę —

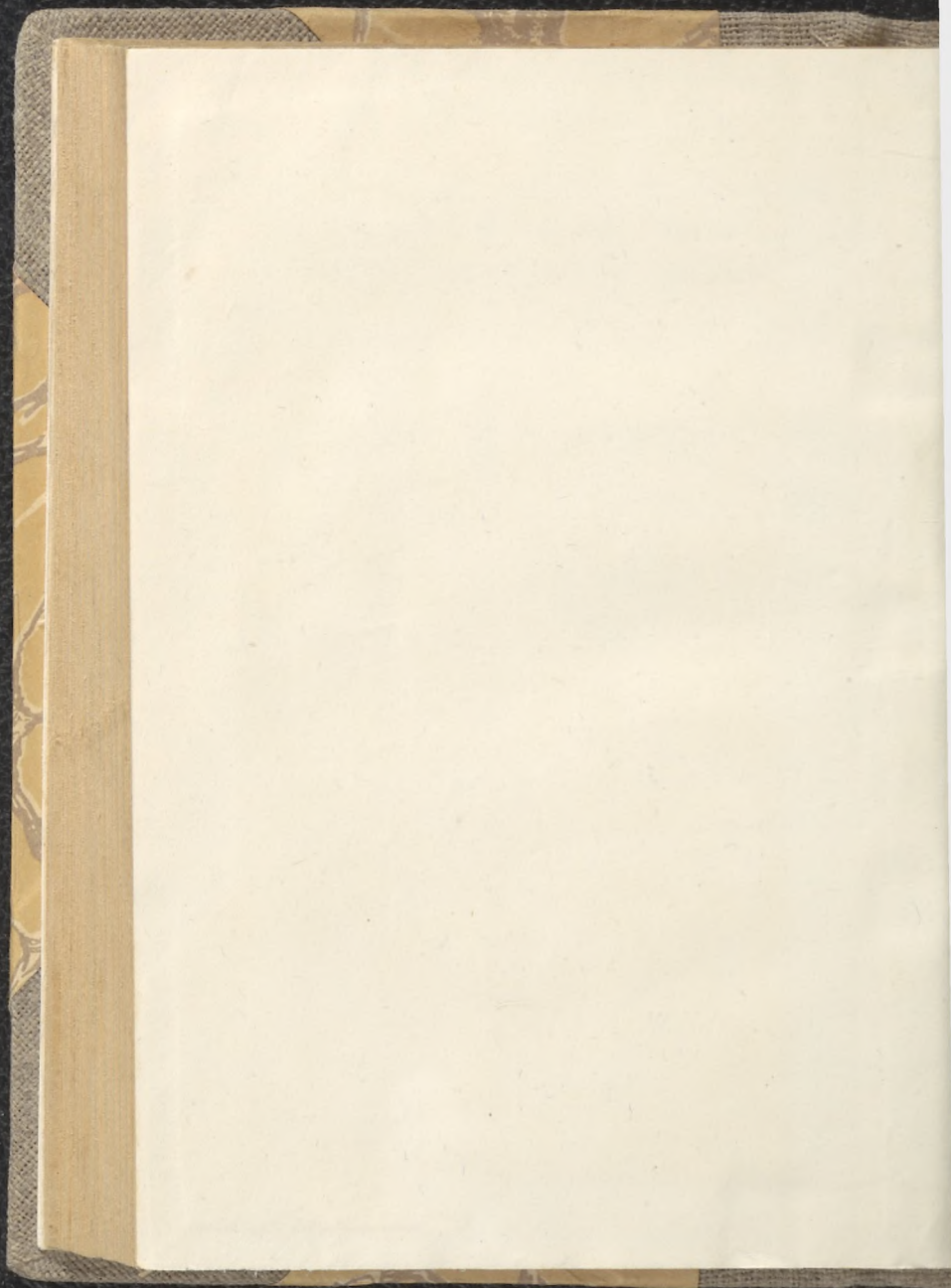
wolał, lkając; wreszcie oparł głowę na
kolanach matki i długo płakał.

Czego też Zenonek płakał?

105
KONIEC







Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020677211



1462069

BN

BN